Ilustrowany POLSKI



POD UROKIEM MUZYKI

Fot: Eurofot





Powyżej:
W BUNKRZE
Komendant niemieckiego bunkru położonego na wybrzeżu Atlantyku obserwuje przez teleskop ruchy nieprzyjaciela i wydaje rozkazy artylerii.

Na lewo:
PO BITWIE
Grenadierzy pancerni oglądają uszkodzony silnie strzałami niemieckiej obrony wóz należący do brytyjskich wojsk inwazyjnych.

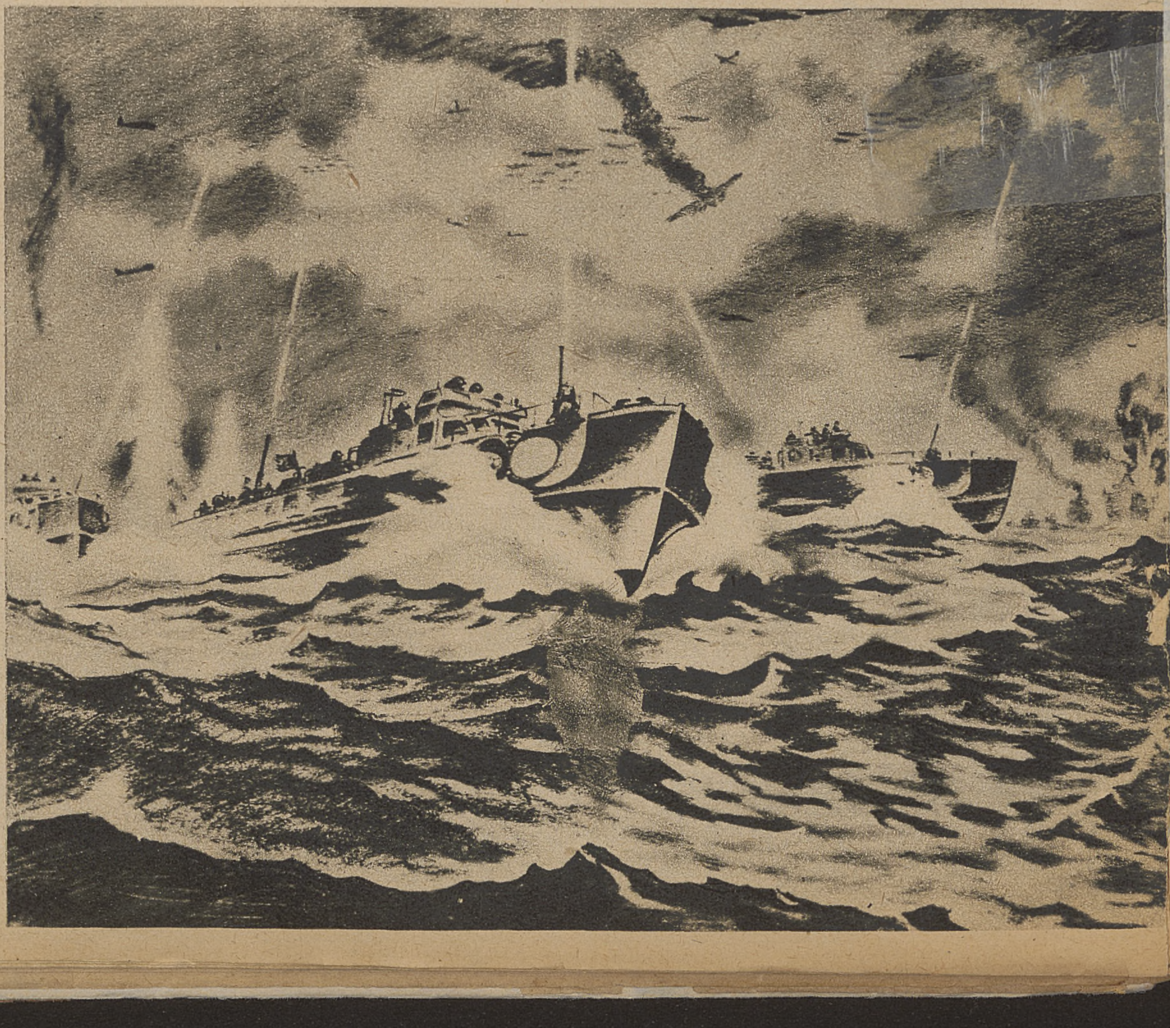


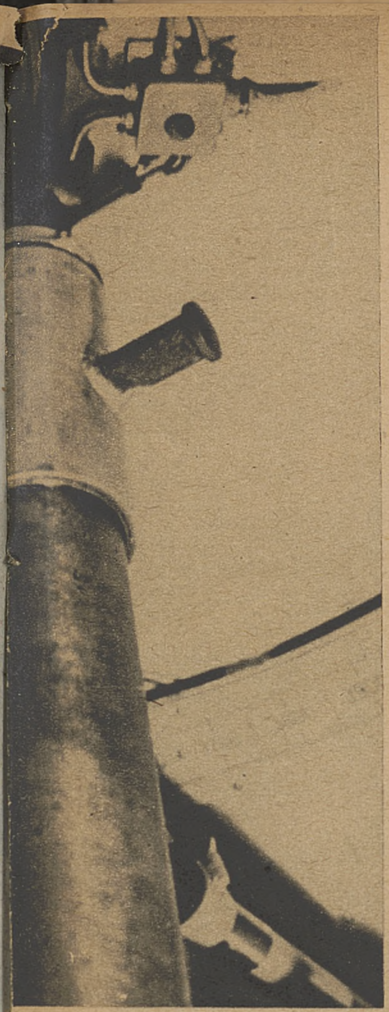
TYGODNIK

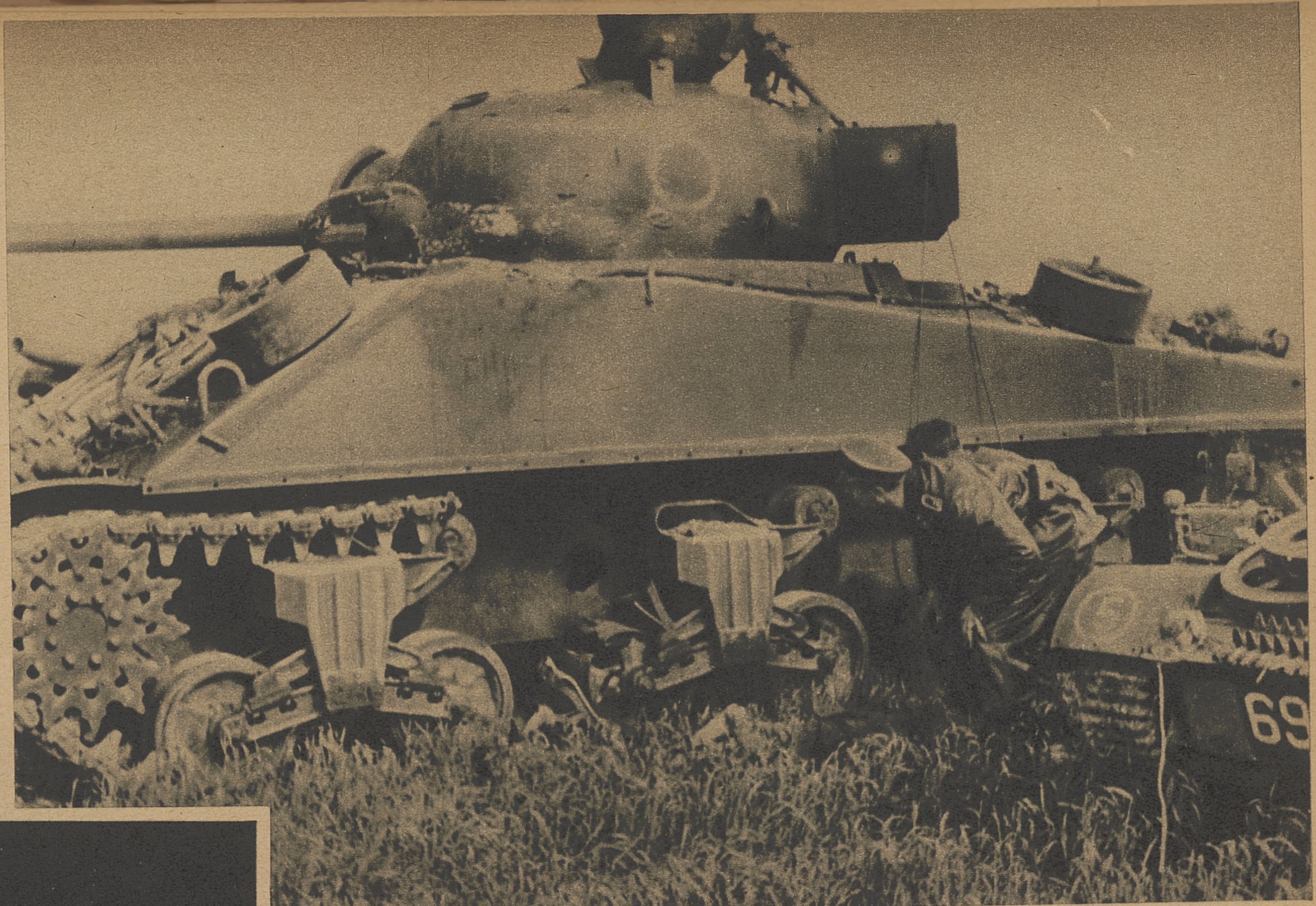
Na prawo:
NA FRONCIE WŁOSKIM
Długa, zaciekła bitwa szalała na tym polu. Świadczą o tym zniszczone ciężkie, angielsko-amerykańskie czołgi rozsiane licznie dokoła.



CZYNY „OSWOBODZICIELI"
Jedna z ulic w francuskim mieście St. Le po trzechdniowym terrorystycznym nalocie angielsko-amerykańskich lotników. W czasie tego nalotu ludność cywilna poniosła duże straty.







Powyżej:
Angielsko-amerykański ciężki czołg „Sherman" zniszczony w bitwie na wybrzeżu Normandii.

Poniżej:
Zdjęcie z frontu wschodniego. Żołnierze sowieccy wzięci do niewoli maszerują do obozu jeńców.

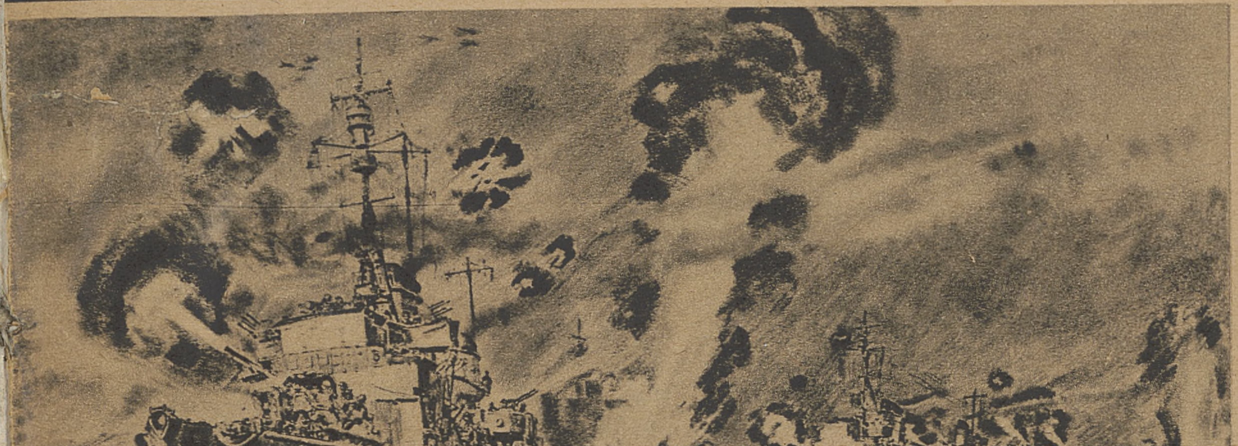




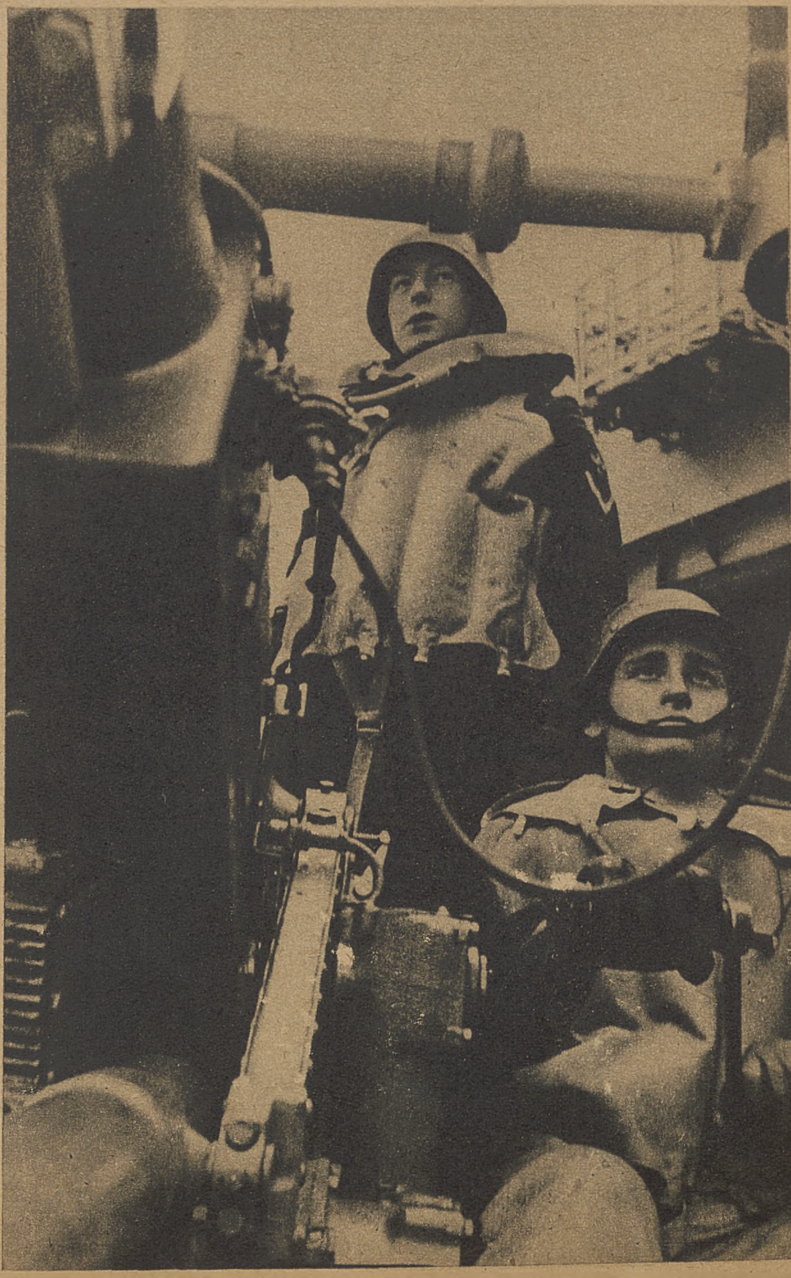
WOJENNY

Na lewo: **BITWA WŚRÓD NOCY**
Niemiecki miotacz granatów w czasie ataku sowieckiego. Każdy strzał jak błyskawica oświetla okolicę.

Fot: PK. Schröter-Sch, Schrötteldreier, Grimm, Zuckriegl-Atl, Vater-TO, VennemannPBZ, SS-PK, Zschäkel-Atl, Stollberg-Sch, PK-Zeichnung Lawrenz, Friedel-Sch.



BITWA W KANALE
Dwa rysunki ilustrujące bitwę morską w chwili rozpoczęcia inwazji. Na lewo: Niemiecki kontrtorpedowiec i ścigacze w walce z niszczycielską flotą inwazyjną. Powyżej: Niemieckie łodzie torpedowe atakują flotę angielsko-amerykańską, mimo, iż ta usiłuje zamaskować się przez sztuczną mgłę.



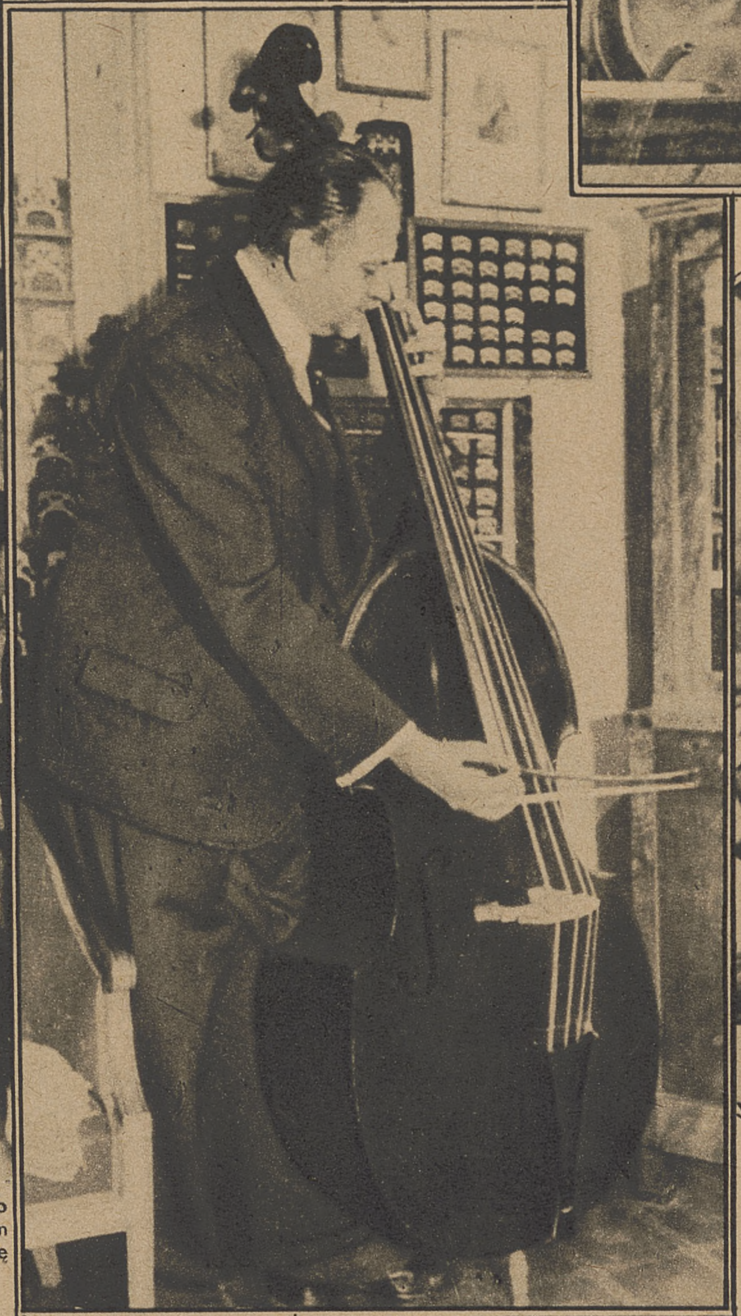
Na prawo:
Niemiecka artyleria marynarki na pokładzie wojennego okrętu. Przy dziale obrony przeciwlotniczej stoi posterunek obserwacyjny i b a d a horyzont.

W skarbcu Euterpy



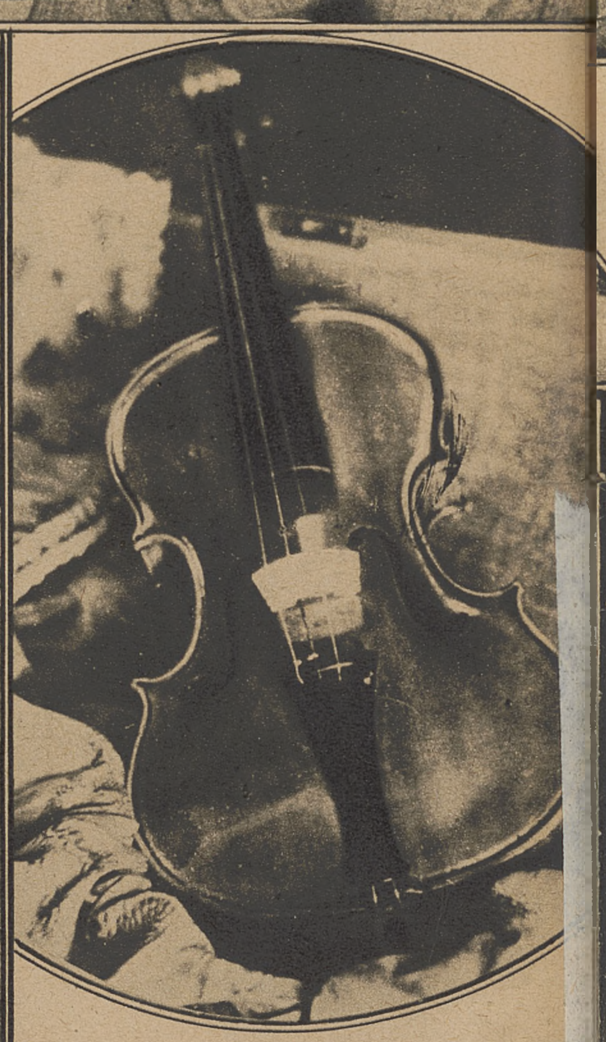
Na lewo:
Artystycznie rzeźbione główki basów i podstawki strunowe, będące świadectwem starodawnego wysoko postawionego rękodzielnictwa instrumentalnego

Artystów muzyków i wielbicieli muzyki z całą pewnością musi interesować wszystko, co tylko ma wspólnego czas z muzyką. Dlatego też uprzejmość profesora Karola Schreinzera, archiwariusza i kontrabasisty Wiedeńskiej Filharmonii zasługuje w tym względzie na szczególne podkreślenie, dzięki niemu bowiem podzielić się możemy z Czytelnikami wrażeniami i refleksjami wyniesionymi z „królestwa" skrzypiec, nut, kołeczków, tłumików itp. skarbów zacnego profesora. Dzisiejszy zbiór zapoczątkował on dziesięć lat temu małą gablotką szklanną, a niemało trudu kosztować musiało zgromadzenie tylu eksponatów, jakie z dumą prezentuje nam dzisiaj ich miłośnik. Tam wszędzie, kędy w świecie koncertowali wiedeńscy filharmoniści, nie brakło też „poszukiwań" profesora Schreinzera, a prawdziwym „polem polowań" były dlań — jak opowiada warsztaty wytwórców instrumentów smyczkowych. Sporo miejsca w zbiorach zajmują osobliwe wielkością i kształtem części składowe instrumentów, pochodzące z Pragi, Budapesztu, Berlina, Turynu i Brukseli. W starej, ponad 240 lat liczącej skrzyneczce oglądać można także istne kuriosa dziwacznej wytwórczości starożytnej. Ostrożnie dotykamy pożółkłego arkusza z nagłówkiem o brzmieniu: „Swietny Komitecie!" Jest to własnoręczna dedykacja Antoniego Brucknera z daty 13 października 1885 roku, ofiarowana przezeń Filharmonii. Tenże mistrz w słowach „chwalebnemu, znakomitemu Zrzeszeniu Filharmonistów" poświęca 27 października 1873 r. swą drugą Symfonię. Niby żywi stają przed nami wielcy kompozytorowie, Bruckner, Brahms . . . Geniusz ich promieniuje ze starych rękopisów. Oglądający nachylają się nad resztkami książki bardzo zniszczonej zębem czasu i dawniejszym zużyciem. To książka kasowa sławnego wytwórcy skrzypiec Marcina Stoss'a. Biegniemy następnie wspomnieniem do roku 1850, gdy Luigi Tariso, Włoch, zarzucił stolarkę i oddał się budowie skrzypiec, inicjując rozwój przemysłu skrzypcowego w Italii. A oto rachunek za skrzypce Tarisia, 270 guldenów! Widzimy skrzypce z r. 1651 Tyrolczyka Jakuba Steinera, najznakomitszego wytwórcy skrzypiec w Niemczech. — „A oto najstarsze w ogóle ze znanych tłumiki na skrzypce — objaśnia profesor Schreinzer. — Tutaj zaś na papierkach wytłoczone „znaki fabryczne" Franciszka Geissenhofa, Krzysztofa Fux'a i Stradivarius'a." W kartotece czytamy: 309 główek do skrzypiec, z tego 62 z kości słoniowej. Liczba różnych kołeczków wyraża się cyfrą 3165 sztuk. 170 tłumików, 802 znaków fabrycznych, 890 postawek pod struny. Jak za dawnych czasów, czytamy szyldy: „Marcin Stoss, II p. na lewo." „Hofmann, nadworny wytwórca skrzypiec." Szyldy te oryginalne. Na końcu podziwiamy wielki, jawajski gong, podarek sułtana Hannghu Bunano VIII z Jongharta, słyszalny na $1^1/_2$ km. Wychodzimy, żegnając czcigodnego konserwatora wartościowych i jedynych w swym rodzaju osobliwości z dziedziny budownictwa skrzypiec.



Na prawo:
Twórca zbioru, prof. Karol Schreinzer, dobywający dźwięk z cello wiedeńskiej roboty Geissenhof'a. Kolekcjoner jest sam zapalonym i znakomitym muzykiem i prezentuje chętnie zwiedzającym grę na tym czy owym instrumencie.





Na prawo:
Podarek sułtana z Jongharta, Hanghu-Bunano wielki gong o pięknym i głębokim brzmieniu, szalny do $1^1/_2$ km odległości.



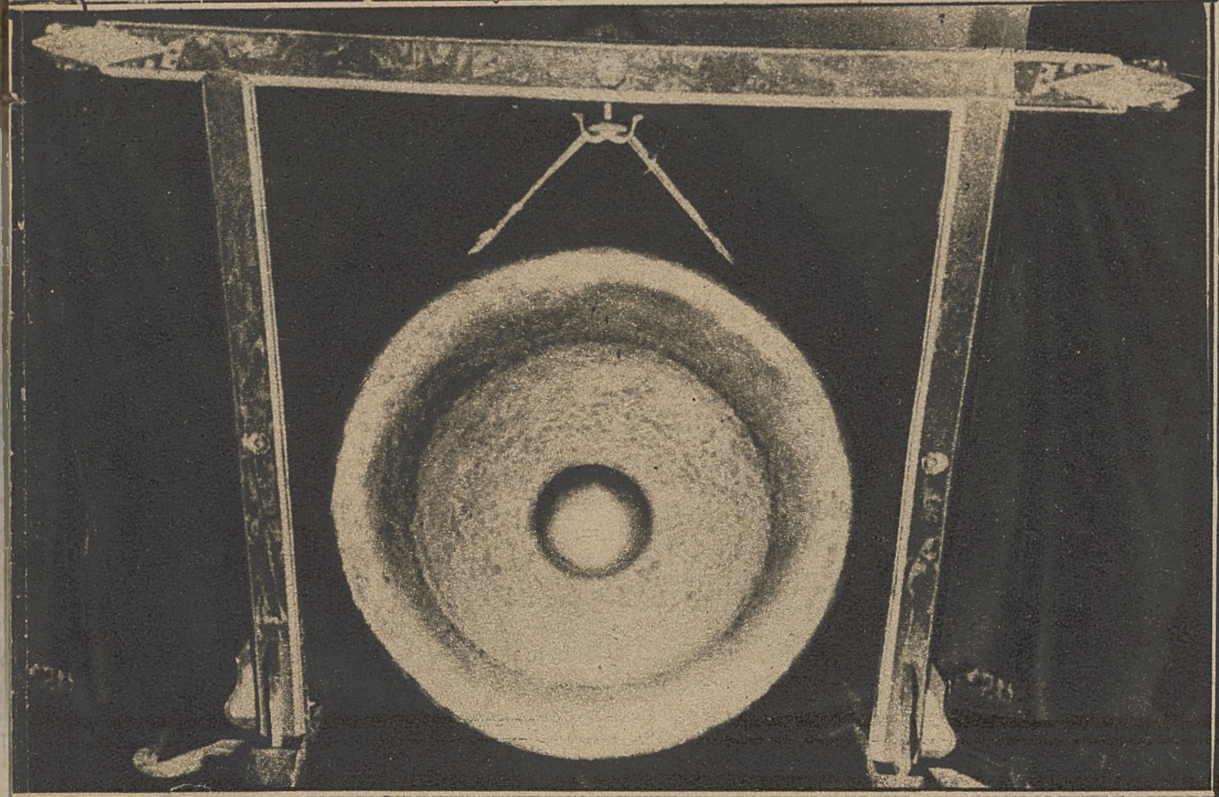
Powyżej: Skrzypce mistrza-wytwórcy Marcina Stoss'a. W pośrodku tzw. skrzypce „księżycowe", zwane tak od otworów dźwiękowych w kształcie półksiężyców. W kole na lewo: Oto dzieło „wiedeńskiego Stradivaria"—Geissenhof'a, o poważnym dźwięku i mistrzowskim wykonaniu całości. Na prawo: Dwa zabytkowe instrumenty smyczkowe ze zbioru prof. Schreinzer'a: Viola Krystiana Parf'a i na prawo obok cello Franciszka Geissenhof'a.

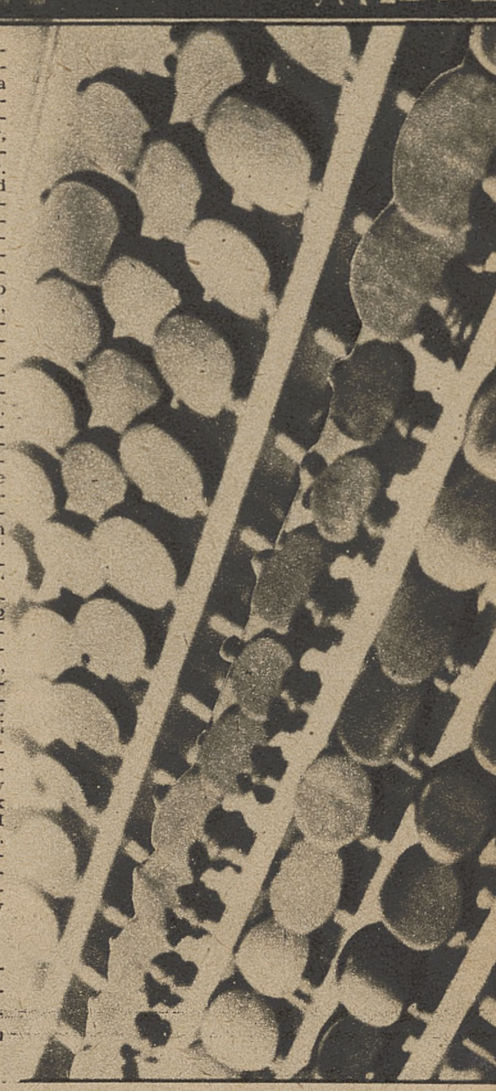


Fot. Franz Blaha



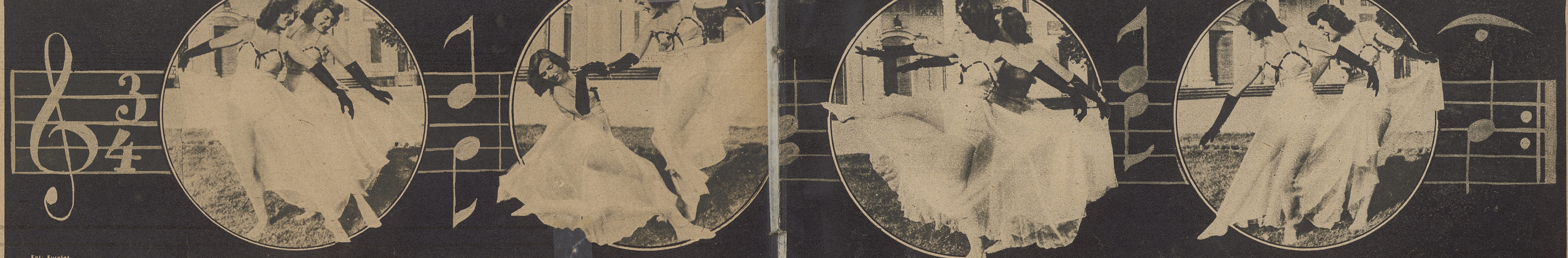
Na prawo:
Poszczególne części składowe, modele i szablony starodawnych wiedeńskich wytwórców z różnych stuleci, pieczołowicie zebrane przez profesora-miłośnika.





Na prawo:
Kołeczki do cello — zgromadzone z dużym nakładem trudu z wielu krajów i reprezentujące różne okresy rozwoju budowy tych instrumentów.

PIOSENKA



Fot. Eurofot

ALLEGRETTO ALLEGRO ALLA MARCIA ANDANTE TUTTO DA CAPO

Samolot w walce z szkodnikiem leśnym



Na lewo:
Samoloty tak gęsto sieją śmiercionośny środek ponad wierzchołkami drzew, że każda gałązka musi się dostać w ich zasięg.

Na prawo:
Chmura trucizny rozpływa się równomiernie między gałęziami — gotując smutny koniec osnuji.



Poniżej:
Niby długi tren sukni lub welon ślubny snuje się nad drzewami chmura trującego gazu, niosącego zagładę [illegible]





W kole obok:
Żałośnie wznoszą sosny nagie gałęzie ku niebu. Żarłoczność gąsienicy osnuji dokonała na nich dzieła zniszczenia.

Czy nie brzmi zbyt humorystycznie powiedzenie o zwalczaniu owadów przez... samolot? Przypomina się znana bajeczka o walce słonia z muchą! A jednak to najczystsza prawda i najnowsza zdobycz w sposobach niszczenia wielkiego szkodnika lasów, zwłaszcza sosnowych, gąsienicy osnuji. Jako owad pojedynczy, osnuja nie jest wcale stworzonkiem groźnym. Jako owad, powiedzieliśmy. Ale jej gąsienice porównać można pod względem czynionego spustoszenia w drzewostanie leśnym — chyba tylko z żarłocznością szarańczy. Jeżeli gąsienica osnuji występuje masowo, staje się klęską nawiedzonych przez się obszarów. Szkody rocznie wyrządzone przez osnuję mogą iść w miliardy. A inne owady-szkodniki? Zastanówmy się tylko: 4/5 wszystkich gatunków stworzeń na świecie stanowią owady! A jakaż kolosalna ilość z nich jest tylko i wyłącznie szkodnikami! Toż można śmiało powiedzieć, że najgroźniejszym wrogiem wszystkiego co żyje — są owady. Masy owadów! Wracając do obchodzącego nas tematu stwierdzamy: Tego tylko dochować się można w gospodarce leśnej — czego nie raczą zniszczyć owady! I to święta prawda. Bogu Najwyższemu dzięki, natura sama pora się z owadami. Pomiędzy niezliczonymi rodzajami istot żywych zachowuje się równowaga stała. Tak chce

Ciąg dalszy na stronie 10-tej





Fot. i Tekst S.—C.

W kole obok: Trujący środek zostaje umieszczony w zbiorniku samolotu wyruszającego do walki z osnują.

Na lewo:
Oto zaczęte żerowanie gąsienic. Szpilki zostają u nasady obgryzione i wciągnięte w oprząd.



Na prawo:
Okazy osnuji. Na lewo samiczka, na prawo samczyk.

Taneczna Epopea

Madame Rose zmierzyła ją od progu swoim podejrzliwym, na pewno nawet specjalnie w tej chwili krytycznym spojrzeniem wyblakłych, a jednak wyraźnych spoza okularów oczów i bez słowa cofnęła się do ciemnego korytarza.

— Dostała Pani telegram, że wracam znowu? — spytała Mary, przymykając za sobą drzwi. Skrzypnęły przejmująco, nieprzyjemnie, jak zawsze, jak długo pamięta. Jeszcze nie naoliwione . . . I cierpki zapach flitu, naftaliny, niewietrzonych pomieszczeń i ubrań. Nie zmieniło się nic . . .

— Tak, przyszedł w południe. Ale one jeszcze nic nie wiedzą i nie wiem czy zechcą na trzecią . . .

— Przecież było tak zawsze. Nie pamiętam, ale chyba z osiem lat. Mieszkałyśmy tu zawsze we trzy.

Madame Rose już nic nie powiedziała. Nie była gadatliwa. Zresztą do Mary odnosiła się zawsze niechętnie, z uprzedzeniem. I w chwili, gdy Mary u niej odnajmywała pokój, zaraz potem, jak Stomphson zaangażował ją do swojej rewii, specjalnie w tym okresie całego może nawet kwartału, gdy zalegała z komornym (ten potwór, Fraut, kasjer, wydawał zaliczki a czasem to i należne gaże według swoich „widzimisię", czy innych sympatyjek . . .) A nawet wtedy, gdy odjeżdżając w bajkową swoją przyszłość Mary ofiarowała swojej gospodyni śliczny obrus z prawdziwym Richelieu. Krytycznie i podejrzliwie nastawiona brała ona Mary wszystko za złe; i jej niekończące się opowiadania o André, jedyną jego w tym mieszkanku wizytę no i cudowne zakończenie tej znajomości, odjazd Mary do Pelligue do białej zacisznej willi, do bezgranicznego szczęścia we dwoje, do nowego nazwiska, do nowej nienależnej jej może pozycji w świecie. Może nie wierzyła, że do biednej, nieznanej tancerki uśmiechnąć się może tak wielkie szczęście? . . . Tak jak do końca nie wierzyły koleżanki z zespołu . . . — budząc się z radosnym biciem serca nie wierzyła sama Mary? . . .

Drzwi do ich wspólnego pokoiku otwierają się do wewnątrz. Pamięta, że kontakt jest po lewej stronie tuż przy wieszaku.

Umbry od lampy nie czyściły chyba od samego jej odjazdu. Lampa dawała mdłe, przykre błyski, ale w ich świetle ciasny pokój był taki sam, niezmieniony, jak w jej wspomnieniach . . . Tak właśnie wczoraj, gdy zdecydowała się, wyobrażała sobie, że tak będzie, gdy wejdzie znowu tutaj.

. . . Ach, wczoraj jeszcze — dopiero wyobrażała sobie tylko . . . Dziś — już rzeczywistość, już tu jest, już zapadła klamka . . . Cicho zamknęła się za nią klamka tamtego białego domu. Z nieprzyjemnym szmerem zatrzasnęła się ta od drzwi tego ponurego pokoju.

Nie sprawiły sobie nowego wieszaka. Szlafroki jak dawniej wisiały koło siebie na gwoździach. Czerwony w białe stokrotki — Nuśki. A więc nie wyprowadziła się stąd — a marzyła, że dostanie zyskowniejsze engagement, zmieni mieszkanie („rzucę tę budę do cholery!") Ten drugi . . . Nie, to nie jest szlafrok Isi. Choć też jest znany. Mary widywała go już gdzieś . . . W garderobie? Za kulisami? . . . I jej własny, ten stary pstrokaty łach w maki, zostawiony „w spadku" dla Isi. Czyżby z Isi „przeszedł" znów na Nuśkę, czy tę inną? Bo Isia nie mieszka tu już. Któraś inna dzieli pokój z Nuśką. Wystarczy na stwierdzenie tego jeden rzut oka na półeczkę z baletkami. Nieodkurzane baletowe ćwiczeniówki w nieładzie, ciśnięte byle jak, w pośpiechu. Baletki Nuśki Mary poznaje od razu. Obydwie pary zniszczone na czubkach,



z lewej nogi więcej, niż z prawej. Ale te dwie pary takich małych, prawie nowych nie należą do Iśki. Miała większą nogę.

Co stać się mogło z Iśką? . . . Iśka zanadto może sławiała się inspicjentowi. Ten beztroski złotowłosy, zawsze roześmiany chochlik (. . . ileż razy Mary budził ze snu jej przejmujący, wduszany w poduszkę szloch . . .) nie mogła się nie podobać. Iśka miała to „coś". A inspicjent Kański był zazdrosny, zwierzęco zazdrosny — i Isina kariera mogła prędko się skończyć. Mogło zbraknąć dla niej engagement (jedno mściwe, judaszowskie słówko Kańskiego do dyrektora . . .).

Gdzie poszła stąd? Bo trudno mieszkać skromniej i biedniej. I jeżeli nie ma się nawet na zapłacenie tej kwoty za czynsz? . . .! Ale przecież Isia mogła również zdobyć rozgłos, sławę, karierę (.. i kto wie, czy jej nie zdobyła... i jaką...?)

Kim jest nowa? Ładna, jedwabna bielizna w nieładzie rzucona w szafie? luksusowe, domowe pantofelki z wykwintnym futerkiem. Może dziewczyna z „dobrego domu" (albo z dobrym, bogatym przyjacielem . . .)?

Z kim Nuśka dzieli pokój, troski, głód i wrażenia? Od dziś będą tu mieszkać razem. Tancerki . . .

Dreszcz przechodzi od karku przez plecy. Tętna biją głośno, bardzo głośno, a w ustach smak piołunu. I tępy ból koło serca. Tak, jak wczoraj od dwóch dni. Dwa dni? A zdaje się, że to już miesiące tej męki, niepokoju, żalu.

Mary siada na niskiej skórzanej kanapce. Ileż razy siadała tutaj. Zawsze zmęczona. Zawsze z obolałym krzyżem po akrobatycznych numerach, albo po tym piekielnym foxtrotowym tempie w modnych rewiach sezonu. Z bólem mięśni. Szalonym, przenikliwym. A gorzej, że dyskwalifikującym, żenującym (. . . „ach nie myślcie, że jestem zmęczona. Po prostu za dużo wrażeń! Było przecież cudownie" . . .)

Czyż będzie umiała jeszcze stanąć na pointach? Ileż znów ćwiczeń, żeby dojść do perfekcji, choćby do tej umiejętności sprzed pół roku! . . . A przecież trzeba umieć więcej, lepiej, iść naprzód. A jeżeli one wszystkie, dziewczęta z jej zespołu wyprzedziły ją znacznie? Trwoga. Straszna trwoga przed rywalizacją, przed ryzykiem, przed całym tym nowym życiem. A raczej przed starym, do którego się wraca, a o którym starało się nie myśleć już, ani wspominać nawet . . .

Lustro . . . Ach, dziewczęta wzięły sobie do mieszkania to pęknięte, z ich garderoby. Bo tam mają teraz wspólne, większe, nie krzywiące tak szpetnie linij i rysów („Dada, mówisz, że lustro krzywe? Twoje nogi i bez lustra nie są zanadto proste. I Kański tego nie zauważył? Miałaś szczęście!")

Małe lusterko . . . Ileż razy odbijało jej twarz. Zawsze w wypiekach, spotniałą, z niespokojnymi, krytycznymi oczami, w gorączce tremy, w pośpiechu. Twarz Markietanki w „Teatrzyku Minionej Przeszłości", upiornie bladą pod pudrem twarz w „Mazurce" i jaskrawą w „Romansie Cygańskim" i w aureoli diademu, kolczyków i kolij w „Walcu".

Chyba najlepiej było jeszcze z początku. Sam Kański mówił, że ma nieprzeciętne zadatki na tancerkę (może tylko po prostu ładne nogi?) Była protegowaną wielkiej Doroty Nieck, solistki (Dorota Nieck chciała „wywalić" z zespołu Lilę Piednont i gwałtem chciała już na jej miejsce nową kandydatkę). Baletmistrz Werner był taki uważający, rozbrajająco cierpliwy, gdy tłumaczył jakieś zawikłane pas (a ruda Lorka . . . zaraz, jak jej było na nazwisko? . . . wcale zdawała się nie zauważać, że robi to jej na złość). I Kański dał jej wtedy solówkę w Teatrzyku Minionej Przeszłości.

Ach! w całej jej minionej przeszłości był ciągle teatr. Zaprószone, tandetnie postawione kulisy, jaskrawe, na efekt dekoracje, zapach używanych kostiumów, nasiąkniętych fetorem obcych, zgrzanych ciał, tłustej szminki i przypalanych na fryzjerskich żelazkach loków i peruk, deski sceniczne chropowate, zawsze nieubłaganie nieelastyczne, głos baletmistrza, wieczny pośpiech, nieuleczalne zmęczenie, białe arkusze kontrastów, kwity na zaliczkę i głód. Wiecznie teatr. Niezmiennie taniec. Zmieniały się tytuły rewii, kolory i treść afiszów, rozlepianych w hollu, na parkanach, za wystawami, zmieniały się twarze widzów w krzesłach, światła reflektorów, kostiumy, solistki i primabaleriny, koleżanki w zespole, taneczne pas i ćwiczenia (no i zmieniały się humory i sympatie inspicjenta, czy dyrektora, zmieniał się styl, przedmiot snujących się plotek i intryg, rzucanych przekleństw i wyzwisk).



I zmieniały się z czasem plany na przyszłość, ambicje i marzenia: Naprzód optymistycznie, że musi zostać gwiazdą, że kto wie, czy nie przewyższy sławą wielkiej Nieck, że będzie pobierać dziesięciokrotną gażę i jaki ten Kański miły, żeby tak się oświadczył? . . . A potem, żeby tylko dostać małą jakąś solówkę, żeby dali choć całe dwieście złotych, bo inaczej zdechnie się z głodu, żeby Kański uśmiechnął się do niej raz, albo pogłaskał po ramieniu, przechodząc . . . A w dłuższy czas potem myśli się tylko już o tym, żeby nie usunęli z zespołu za tą awanturę z Mimi i żeby ta bezczelna smarkata dostała za swoje . . . Czy ten nowy znajomy zaprosi na kolację?, a co będzie, jak nie uzyska się zaliczki choćby dwudziestu złotych, bo trzeba na fryzjera koniecznie, nie mówiąc o obiadach (a do pierwszego jeszcze dziesięć dni . . .)

Gorycz w ustach staje się nie do zniesienia. Mary czuje szum w uszach, jak dawniej po każdej premierze (albo po każdej awanturze z Kańskim) — ciekawe, że jednakowe wrażenia . . . I mąci się w głowie nieznośnie, nużąco — jak po bisowaniu forsownego czardasza na niemożliwie wysokich drewnianych korkach długich butów i w tamującym oddech obciśniętym gorsecie — albo jak po wódce, wypitej na czczy żołądek po dobie, lub więcej głodówki, na kolacji z wspaniałomyślnym nieznajomym.

Nuśka i tamta druga jadły wczoraj czerstwe bułki i ser, którego skórki walają się na spodeczku w papierosowym popiele. Taki najtańszy smażony ser i bezustnikowe papierosy za parę centimów . . .

Mary podchodzi do okna, otwiera je, mając wrażenie, że się dusi. A przecież tak niedawno nie paliła innych i wolała mieć choć ser, niż głodna kłaść się spać.

Kolorowy, obszyty wytartymi cekinami łaszek porzucony na krześle. Ach! ten inspicjent znów umniejszył w powierzchni baletowe kostiumy w rewii. Jeszcze silniej, bardziej negliżowo dekoltowane przejrzyste staniczki, jeszcze bardziej wycięte ażurowe szpongi.

Wspomnienie przykrej, bolesnej sekundy, gdy po raz pierwszy w niedyskretnym żarze reflektorów stanęła przed podniesioną kurtyną w takim kostiumiku girlsy gdy czuła się naga na oczach patrzących z krzeseł widowni, poniżona i zdyskwalifikowana. Ale po tej pierwszej w życiu premierze przyszły następne wieczory, przedstawienie po przedstawieniu, efekt po efekcie, wciąż nowe tricki podług gustu zmiennej, niewybrednej, ale płacącej publiczności. A potem było już jej wszystko jedno, przechodziło bez wrażenia. Przecież nie mogła się ośmieszać... Przecież tak wszystkie...

Dzwonek.

Z przedpokoju dochodzą do Mary fragmenty prowadzonej rozmowy. Głos madame Rose: — Nie wierzy Pan? Przyjechała przed godziną. Zawiadomiła telegramem dziś z rana. Nie, nie położyła się. Niech Pan wejdzie . . .

W sylwetce wyłaniającej się z mroku korytarza Mary rozpoznaje starego Henry. Właściwie nie jest stary, a te pół roku nie zmieniło go, ani nie postarzało zupełnie. Te srebrzące się pasma nad czołem miał już podobno i we wczesnej młodości. Poczciwy, kochany Henry. Może dlatego tancerki z teatru uważały go za starego, że miał ten ojcowski sposób podejścia do każdej, dla każdej najserdeczniejszą, najbardziej lojalną przyjaźń i przywiązanie (a któryż mężczyzna do tancerki specjalnie chce ustosunkować się jak — ojciec?)

Henry był suflerem w sztukach mówionych w teatrze Stomphsona. Był przyjacielem całej artystycznej braci. Ratował aktora w najtragiczniejszych momentach, gdy zawodziła pamięć, czy pokręciły się słowa tekstu. Zawsze bez zawiści aktorskiej, pozbawiony egoistycznych ambicyj, opanowany, bezstronny i szczery. Czasem jedynie pozwalał sobie na maleńki tkliwy sentymencik do którejś z aktorek, czy tancerek, — ale i to nie potrafiło go wyprowadzić z przysłowiowej u niego równowagi. W sezonach, gdy u Stomphsona szły operetki, czy balet, stawał się orędownikiem, sojusznikiem i impresariem każdej najmniejszej i najskąpiej utalentowanej „gwiazdki". Znał je wszystkie, był przy sporządzaniu każdego kontraktu, pilnował przestrzegania jego paragrafów, wstawiał się w dyrekcji o pobłażliwość dla rozmaitych przygód dziewcząt, rozsądzał ich spory, wyjednywał zaliczki.

— Mary! To ty naprawdę? Co się stało?! — Henry nie zdaje się być zachwycony niespodzianką. Dziewczyna, stojąca naprzeciw ma bladą bez życia twarz, nieruchome oczy, pociemniałe i lśniące niezdrowo.

Henry jest znawcą ludzi: — Wróciłaś? Co się stało?

„Co się stało?" Może właściwie nie stało się nic. Jeden wieczór, kaprys, narzucony chwilą i parę kieliszków burgunda za dużo. Co się stało? Jedno zdanie André. Jedno jego powiedzenie. Może tylko jedno słowo. Ale intonacja, gest, twarz jego, spojrzenie w chwili, gdy je wymawiał. I najstraszniejsze, że nie można powiedzieć, że był niesprawiedliwym. Po jego stronie była racja.

Nie myśleć o tym wieczorze sprzed dwóch dni! Nie wspominać w ogóle półrocznego okresu małżeństwa z André, zapomnieć o nim, że był, że kochał.

— Henry, przyjacielu. Co słychać? Stale u Stomphsona? A Nuśka?

Henry starał się nie okazywać zdziwienia, ani ciekawości. Był psychologiem, a przy tym znawcą kobiet, a raczej pewnego ich rodzaju; znał wszystkie kobiety-aktorki rozmaitych kategorii i pochodzenia. Wiedział, że dziewczyna nie powie mu nic, ani słowa o sobie, co zaszło i co sprowadza ją z powrotem do biednego pokoiku tancerek. Nie może na razie być mowy o zwierzeniach. Jeszcze na nie nie czas.

Henry z taktem światowca podchwycił temat, podsunięty przez Mary i żywo, plastycznie malować jął życie aktorskie i zakulisowe dnie, które upływały zawsze, nieprzerwanie, gdy ona była daleko.

— Stomphson daje teraz operetkę z Marienne Davon i Bresterem. Marienne — to kasa. Nieprzeciętne powodzenie. Tak, jest mały balet, wychodzi dwa razy; w drugim i trzecim akcie. Ale zespół zredukowany. Nuśka? Nuśkę zaangażował Tom Brick. Pamiętasz go? Tańczyłaś u niego w rewii w „Petite Opera". Teraz kręci taneczny film. I Nuśka miała szczęście. Nie, nie jako solistka, tańczy w grupie. Hm . . . więc powiadasz, że chcesz tańczyć znowu? A jak z twoją formą? Bo teraz będzie trudniej o korzystne engagement. Ale zdaj sprawę na Henry'ego. Moja w tym głowa. Grudek wspominał mi, że potrzebuje jeszcze kilka do zespołu.

— Ach, Grudek . . . wolałabym nie. Gdy odjeżdżałam z André — głos się załamał — zerwałam z nim kontrakt, pamiętasz?

— No, ale dostał odszkodowanie. André dobrze zapłacił za twoje uwolnienie. Zresztą nie potrzebujesz iść sama do niego prosić. Ja to załatwię ci. Nawet lepiej, że obejdzie się bez sensacji. A twój powrót do zespołu . . . wzbudzi dużo zainteresowania. Przyniosę ci od razu gotowy już kontrakt do podpisu. Jeszcze dziś, bo wiem, że sprawa aktualna. To nie będzie bardzo dobrze płatne i wiem, że Grudek jest bardzo niesympatyczny, ale powiadam, że poza tym wszędzie byłoby bardzo trudno i mogłabyś zostać bez niczego. Wszyscy są już na sezon skontraktowani i nie potrzebują sił.

— A w tym filmie, gdzie Nuśka?

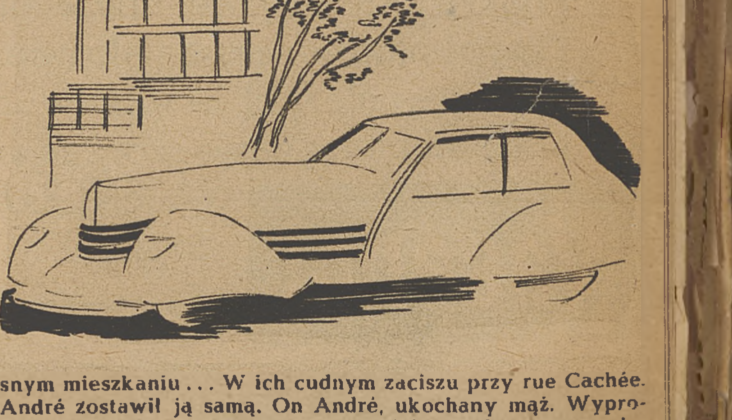
— To ciężka praca, nie dla ciebie — objął wątłą postać zatroskanym spojrzeniem — zresztą zostawię numer telefonu. Możesz zadzwonić do Toma, albo z Nuśką porozmawiać telefonicznie w przerwie. Boję się, że będziesz sama do rana. Próby u Toma Bricka przed obiektywem przeciągają się czasem i na całą noc. Nuśka nie prędko wróci a tamta . . .

Podniósł się z krzesła z dziwnym stałdowaniem brwi: — Wiesz, nazywa się Ellen i jest niezwykle ładna. Ale kpi sobie z wszystkiego: z teatru, z prób. Pracuje u Dereyów. Dobrze jej płacą, ale grożą wylaniem, bo nie przychodzi na próby. I na noc do domu też nie. Dziś nie nocowała. I znów nie będzie jej na próbie, nie wzięła kostiumu . . .

Mary zaśmiała się nerwowo. Chciała mu zrobić przyjemność, pokazać, że wszystko w porządku, zupełnie, jak dawniej. Tamta „szelmutka Mary" sprzed sześciu miesięcy roześmiałaby się w tym miejscu na pewno hałaśliwie, żywiołowo.

— Acha, owa cudna Ellen należy do tych, co nie cierpią samotności i własnego mieszkania, co?

Henry ściągnął usta i zrozumiała, że zrobiła mu przykrość. I samej sobie również. Bo przyszło wspomnienie ostatniej nocy, spędzonej w białej willi w Pelligue. Samotna we własnym mieszkaniu . . . W ich cudnym zaciszu przy rue Cachée. André zostawił ją samą. On André, ukochany mąż. Wyprowadził z garażu auto (ileż wspomnień łączy się z tym popielatym Citroenem . . .). Nerwowo, pośpiesznie. Ostrym łukiem zarzuciły na rogu rue de Philipe reflektory odprowadzanej jej wzrokiem limuzyny, sygnał zabrzmiał niecierpliwie, brutalnie. Czarna noc, nie przynosząca dla niej jaśniejszego świtu. Noc wyczekiwań napróżno. I druga noc równie czarna i zła, spędzona na dworcu węzłowej stacji Bertenoit, gdy postanowiła rzucić wszystko, szczęście w willi przy rue Cachée, wspomnienie o wielkiej miłości. Ona, szalona Mary, która już w tej chwili żałowała tego.



Ciąg dalszy nastąpi

ROZMAITOŚCI

KALESONY JESZCZE NICZEGO NIE DOWODZĄ

Czasem i pozory mylą, a mężczyzna w kalesonach w jednym z zakładów prasowniczych nie jest jeszcze żadnym dowodem niewierności małżeńskiej. Mężczyzną w kalesonach był stary kawaler, który poślizgnąwszy się na schodach, wprawdzie nie poniósł żadnych uszkodzeń cielesnych, tylko nieprzyjemną stratę w postaci potarganych spodni. W zakładzie tym, którego sam był stałym klientem szukał ucieczki i pomyślnego załatwienia sprawy. Pracownia ta znana była nie tylko z pilności i pierwszorzędnego wykonywania swoich prac, ale mówiono równie wiele o pięknej właścicielce, która właśnie w tej chwili poleciła wejść „panu w kalesonach" do pokoju i czekać dopóki dziury na spodniach nie zostaną naprawione.

Całość przeszła byłaby całkiem niewinnie z zarobkiem kilku lirów dla usłużnej właścicielki, gdyby nie zazdrość męża, który zjawił się właśnie w tym momencie. Ten nie pytał: „Jak i dlaczego" tylko wzniósł krzyk sprowadzający ludzi z ulicy jako świadków i w najgorszych wyrazach odnażał się swojej żonie i człowiekowi w kalesonach.

Zbiegowisko ludzi sprowadziło policjanta, który pytał wyjaśnienie zapłakanej właścicielki i czerwonego jak piwonia mężczyzny.

Szybko stwierdzony stan rzeczy zmienił całkowicie sytuację, a ośmieszony małżonek stał teraz winym wobec wszystkich zawdzięczając niepotrzebne to zajście swojej wybuchowej naturze.

DLACZEGO KONIE ŚPIĄ STOJĄC

Z pewnością każdy z nas widział już, że konie śpią stoprzeważnie. Nieraz nie kładą się całymi tygodniami, a jednak są zdrowe i wyspane i praca ich nie wykazuje ujemnych skutków takiego spania na stojąco. Człowiek nie wytrzymałby takiego sposobu wypoczywania, gdyż mięśnie naszego ciała wykonują pracę podczas stania, o czym sami dobrze wiemy, gdy kilka godzin musimy stać bez możności wypoczynku. „Cały czas na nogach" oto zdanie, które często słyszymy i które jest synonimem zmęczenia. U koni jest jednak inaczej: jeżeli koń już raz mięśnie naprężył, pozostają one naprężone bez wysiłku mięśniowego. Ten „mechanizm" nóg końskich pozwala temu zwierzęciu wypoczywać stojąco. W przeciwieństwie do koni, śpią krowy i inne zwierzęta domowe leżąc.

Również ptaki nie kładą się, lecz objąwszy palcami gałązkę, chowają głowę w piórka i zasypiają. Gdyż u nich ścięgna przechodzą przez całą kończynę aż do samych czubków palców. Zakrzywianie palców dokoła gałązki jest czynnością mechaniczną, instynktowną. Dlatego ptaki nie s p a d a j ą z drzew, nawet wtedy, g d y śpią. Tak to natura zaopatrzyła wszystkie s w e stworzenia by mogły żyć i rozwijać się po swojemu.



MOŻE ZNAJDZIE NAŚLADOWCÓW

Na lewo: mieszkaniec wysp południowego Pacyfiku, który ten strój przybiera do jazdy konnej. Białe tło spodni pokryte jest różnobarwnymi malowidłami w stylu miejscowym, przedstawiającymi motywy z życia tubylców. Ten Malajczyk może o sobie powiedzieć, że jest miłośnikiem sztuki, bo nie rozstaje się ze swoimi „płótnami" nawet w podróżach oceanicznych.

PIES W BUTACH

Pies jest najwierniejszym towarzyszem człowieka, a przytym doskonałym pracownikiem. Może to powiedzieć szczególnie Eskimos, dla którego pies jest niezastąpiony jako zwierzę pociągowe: mocny, wytrzymały na mróz i słotę i wytrwały na trudy klimatu polarnego. Jest chroniony przed zimnem przez doskonałe futro, ale nogi ma bose. Toteż Eskimos nakłada swojemu zaprzęgowi buty futrzane, które chronią zwierzęta przed ostrymi kolcami lodu i mrozem.

JAK TY MNIE, TAK JA TOBIE

Żona pewnego kupca miała przyjaciela, który jej sprezentował drogocenną suknię. By upozorować przed mężem nabycie tak kosztownej toalety zastawiła ją w lombardzie za niewielką kwotę. Kwit z lombardu pokazała wieczorem mężowi. — Popatrzno co znalazłam na ulicy — powiedziała do niego. — Ponieważ nie wiem kto mógł zgubić tę karteczkę wzięłam ją. Na pewno to nic wartościowego, gdyż cena zastawu jest niewielka. Idź jednak do lombardu i przekonaj się co to takiego. Nazajutrz przyniósł jej mąż parę starych kaloszy, które rzekomo wydali mu na znaleziony kwit zastawniczy. Suknię swą zobaczyła w jakiś czas potem na sekretarce męża. Ale ponieważ sama nie była bez winy, nie mogła rzucać kamieni ani na sekretarkę ani na swego męża.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



Wiadomo. Pudełeczko pudełeczku nierówne. Są i takie i siakie, i jeszcze całkiem jensze. Ale to pudełeczko, które matula przyniosła z miasta, z apteki, cacane było jak żadne.

— Pokażcie, pokażcie — napraszała się Karolcia, wypadając naprzeciw matki do sionek. Schwyciła pudełeczko w obie garście i nuże kiwać głową, fiufiutać przez zęby i wpatrywać się w pudełeczko jak sroka w gnat.

A miała się w co wpatrywać, oj miała. Pudełeczko było niebieściuchne jak farbka i przetrząchnięte żółtym kaczeńcem. A mało tego. Nad kwiatuszkami podfruwywały pszczółki. Furkotały błonkowatymi skrzydełkami. Strzygły łapkami...

— Utrafione jak żywe — zachwycała się Karolcia i wykręcała pudełeczkiem na wszystkie boki.

— Ostaw, ostaw — zaniepokoiła się matka. — Uważaj, bo wysypiesz Zuzine pigułeczki...

Wydarła Karolci lekarstwo z garści i weszła do izby.

Sięgnęła za pazuchę, podeszła do stołu, na którym siedziała mała Zuzia i podała zasmarkanemu dziecku kupiony na straganie obwarzanek.

— Niechaj się ucieszy córuchna — maluchna — mówiła pieszczotliwie.

Karolcia westchnęła.

— A dla mnie, to figę z makiem kupiła — pomyślała.

Dla niej były przypominki:

— Ugotowałaś ojcu obiad?

— A jakże.

— Krowę wydoiłaś?

— A jakże.

— Zielska świniakowi usiekałaś?

— A jakże.

— Zuziuchnę przypilnowaś?

— Dyć siedzi w całości na stole...

A zażerała się obwarzankiem, co jaże serce bolało patrzeć. Inna jaka, toby choć kawałątko odłamała i dała pokosztować, ale spodziewaj się, głupi, takiej rzeczy po Zuziuchnie.

— Udław się tym obwarzankiem — posłała jej Karolcia w myślach życzenie.

A jak tylko matka odstawiła na bok szaflik z pomyjami i wepchała się do komory, to Karolcia znowu schwyciła pudełeczko do rąk.

— Nie rusz, a dawaj je tutaj!

Ale dogadaj się tu człeku z Karolcią. Schowała pudełeczko pod kaftanik, przycisnęła do serca i wiercąc się, i kręcąc na miejscu, jak ten świder, zaczęła skamleć:

— Matulu, matulu! Podarujta me to pudełeczko, podarujta!

— Akurat — burknęła matka. — Stara dziewucha. Na dziesiąty rok jej idzie, a głupia, jak to bydlę. Nie poto taki kawał drogi do miasta chadzałam i wywaliłam na to lekarstwo jaże dwa złote i groszów sześćdziesiąt. Bezmała ostatni grosz wysupliłam...

Westchnęła ciężko. Zawdy wzdychała jak o wydatkach mówiła i dorzuciła:

— No, dla siebie to byłabym nie kupowała, ale zdrowie dziecka też człowiekowi miłe...

I wrzasnęła:

— Nie wydziwiaj po próżnicy, a dawajno pudełeczko!

Ale Karolcia spozierała na matkę takimi słodziuchnymi oczętami, w których błyszczały łezki, że zmiękła coś nie coś.

— No to poczekaj — rzekła. — Bez całuchną drogę już tak sobie obmyślałam, że koraliki będę trzymała w tym pudełeczku. Ale trudno! Jak ci się tak bardzo spodobało, to ci je chyba podaruję, jak tylko Zuzia wyłyka wszyćkie pigułki...

Karolka na te słowa aż podskoczyła z radości.

— No to niechaj łyka! Na co tu czekać?

— A juści. Teraz una łykała nie będzie.

— A kiedy?

— Jutro.

— O Matko Najświętsza! Ale jutro, to już Zuzia powinna załatwić się w mig z tymi pigułkami.

— Tak dobrze nie będzie. Pan doktór surowo przykazował, co by jeno po dwie pigułeczki dawać dziecku na czczo co rano...

— A wieleż tam tego?

— Nie wiem. Nie rachowałam, ale miarkuję, co za taki duży pieniądz, to powinno być sporo...

— A bo to Zuzi pomogą na zdrowiu jak tak rozwlekle będzie łykała?

— Nie wiem. I mnie też się coś zdaje, że to trochę za pomału. Ale cóż? Pana doktora należy słuchać, a już jak tam będzie ze zdrowiem Zuziuchny, to się obaczy po kilku tygodniach...

Wzięła pudełeczko z rąk Karolci, położyła je na półce w komorze, a potem sięgnęła na łóżko po chustkę i po jakąś nie dużą flaszeczkę i skierowała się do drzwi.

— Przelecę się do Wawrzonowej — rzekła. — Tamoj chłop chory leży, więc me prosiła co by i jemu przynieść z apteki smarowidło.

Po wyjściu matuli Karolcia natychmiast odparła z kołka drzwi komory i sięgnęła na półkę po swoje pudełeczko.

— Ależ cudeńka — westchnęła. — Napatrzeć się na to pudełeczko nie mogę. A także muszę koniecznie obaczyć wiele tam tych pigułków...

I otworzyła pudełeczko. A było pełniusieńkie.

— O rety — zmartwiła się — toć chyba osiwieję zanim je Zuzia wyłyka. Nigdy, nigdy nie doczekam się tego pudeleczka i dobrze by było wyciepać kajniebądź za płot, w pokrzywy, choćby z połowę tego lekarstwa. Przecież matula nie rachowała tych to pigułków, to i wiedziała nie będzie...

Ale jakżeż tu wyciepać za płot, w pokrzywy, takie drogie lekarstwo?

— Nie, nie! Nie można!

Sumienie nie pozwalało.

— To może dam je psu do wyłykania, albo sama wyłykam. Nie zmarnują się...

A tu Zuziuchna, cała obśliniona po obwarzanku, przyglądała się siostrze z rozdziawioną gębą.

— Dawaj ciutielta — wyciągnęła łapę.

Palec Boży. Od razu wszyćko stało się jasne.

— Dla Zuzi są przeznaczone, no to niechaj je sama wyłyka. Jej pójdą na zdrowie, a mnie na pożytek...

I podała dziecku sporą garstkę pigułek.

— Naści! Łykaj, a nie gryź! Łykaj, a nie gryź...

A Zuzi w to graj. Aby jeno miała co wetkać do brzucha, to i dobrze.

Łyka i łyka, łyka i łyka, a jak już wyłykała więcej niż połowę, to Karolcia zamkn[ęła] pudełeczko i powiada:

— Na dzisiaj będzie dosyć...

A Zuzia w bek.

— Dawaj, dawaj — drze się jak opęta[na], więc trzeba było jeszcze raz pudełecz[ko] otworzyć i wyjąć zeń kilka pigułek na [za]tkanie gęby tej krzykaczki.

— Ale teraz, to żebyś się na poly ozdar[ła], to więcej nie dostaniesz. I tak za dużo wydzieliłam. Matula mogą coś pomiark[o]wać...

Ale traf tu Zuzi do rozumu. Sinieje na g[ę]bie jak wątroba, białkami do góry przew[ra]ca, jęczy tak strasznie jakby ją kto ze skó[ry] obdzierał i wije się po stole w konwulsja[ch].

Dostała klapsa.

— Ty złośnico-piekielnico — wrzasnęła [na] nią Karolcia. — Siedź cicho, bo zbiję cię [na] kwaśne jabłko...

A tu matula wchodzi.

* * *

Co było potem, to Karolcia nie lubiła wsp[o]minać. Oj dostało się jej, dostało. Naw[et] tego prześlicznego pudełeczka odechcia[ło] się jej na dłużej.

Piekło. A od tego krzyku, a płaczu, a [la]mentu, to jaże całuchna wieś zbiegła się [do] chałupy.

A kużden co jeńszego doradzał. A gdy a[ni] okadzanie, ani pijawki, ani potrząchan[ie], ani okłady z pokrzywy Zuzi nie pomogł[y], matka chwyciła konające dziecko na rę[ce] i pobiegła w pole do tatula.

No i tatulo musiał wyprzągać kobyłę [od] pługa, zakładać na wielki gwałt do wo[zu] i oboje — wraz z tą przeklętą Zuziuchną powlekli się po nocy do szpitala.

* * *

— Moiściewy — skarżyła się potem m[a]tula przed kumoszkami. — I ktoby taką rze[cz] pomyślał? Te wszyćkie doktory, to już ch[y]ba za grosz sumienia nie mają. Niby to d[a]wają człowiekowi lekarstwo od zdrowia i j[e]szcze każą drogo za nie zapłacić. A takie [la]uno od zdrowia. Ledwie me dziecko odr[a]towały w szpitalu po tych to pigułkach.



JUŻ NIEKOCHANA ANNA

To co mnie łączyło z Anną musiało się prędzej czy później skończyć. Właśnie prędzej czy później. To jej wyrażenie. Nie było żadnego powodu, niczego, co dałoby się ująć w formę twardą i jasną. Ale ta mglistość kształtu, spowodowała to, że nasze wspólne współżycie stało się na dłużej niemożliwe. Mglistość kształtu powodów . . .

I musiało się to wszystko skończyć. Myślę, że i dla niej nie było to bardzo bolesne. Ja? Figura nieciekawa. Ona? — był czas, że była ciekawa. Było tak dawniej. (Obrzydliwe dawniej zakochanych, brak jeszcze nieśmiertelnego: pamiętasz . . .).

Ale zakończyć? Postanowić — łatwo. Powiedzieć sobie — ciężej. Powiedzieć jej, o której się nawet wie, że nie kocha — to prawdziwa sztuka. Sztuka dla sztuki życia... Tak łatwo utracić spokój.

Wyjechałem. Nie miałem odwagi, aby o tym mówić wprost. Bo powiedzieć komuś, że wszystko się skończyło, wypowiedzieć tych kilka słów, które dają życie nowemu życiu i kończą (zabijają) dawne . . . Odpowiedzialność i czy nie zabójstwo rzeczy, które dla człowieka mają znaczenie największe?

Małe miasteczko. Kilka ulic, rynek i ratusz z dużym — dwudziesty wiek — elektrycznym zegarem. Dalej wzgórza, o tej porze roku naiwnie zazielenione i wesołe. Anny nie ma. Ale Anna jest tam i czeka. W wielkim mieście o tysiącu ulic. Niezielonych i głośnych. I tyle tam jest zegarów. Może ona na każdym z nich liczy czas — może ona mnie jeszcze kocha? Tyle zegarów . . .

Wieczory są takie długie . . . Przez otwarte okna wieczorem przedziera się rechot żabi. Daleki i niewyraźny . . . Przypominają się w mieście zapomniane sonety: „Od stawu idzie rechot żabi . . ." Czyje? Pewnie Zawistowska. Tak często słyszałem to od Anny. Od stawu idzie rechot żabi . . . Ja go słyszę. Ona w dalekim mieście słyszy ulicę. Przytłumione a jednak świszczące dzwonki elektrycznej kolei — motto — tłem: sepleniący szept. Kiedy patrzy przez otwarte okno — ona — oparta o czerniejące w mroku pudło fortepianu i . . . Może myśli o mnie. O mnie, który w dalekim miasteczku chce uspokoić nerwy . . . Przecież od stawu idzie rechot żabi . . .

Lepiej zamknę okno. Napiszę do niej jutro. Za dnia . . .

Tylko czy w czterech ulicach miasteczka uda mi się zapomnieć to wszystko co nas — jednak — łączy i przypomnieć to wszystko co jednak dzieli. Mgławicowość kształtu pod elektrycznym zegarem . . . ?

Księżyc jest promiennie blady . . . I jeden krok tylko abym napisał, że: marzenia są wszędzie te same . . .

Kiedy patrzę przez otwarte okno — ja — i patrzę na wzgórza, które nie są zielone w świetle księżyca, oparty o stare zaplamione biurko moich gospodarzy. Plam nie widać. Znikają w cieniu. Plamy na biurku i na słońcu Anny. W księżycowym cieniu . . .

Rano . . . Żaby już dawno ucichły. Wychodzę centralną ulicą miasta — pod ścianami naprawdę zielone drzewka — a potem brzegiem rzeki. Rzek tu nie brak. Trzy. Wszystkie małe, spokojne, i czasem dziwię się, że zarząd miasta nie ustawił nad nimi elektrycznych zegarów. Warte tego bardziej, niż cztery ulice miasta i rynek . . .

Spokój. Mało ruchliwa woda nie ma odwagi zbyt głośno szeleścić. Na wysokiej trawie rosa. Ślady moich stóp znaczą szeroką, matową bruzdę. Myślę o Annie. Ale już teraz . . . spokojniej. Światło słońca działa uspokajająco. W zawieszonych w powietrzu kroplach rosy jest dużo słońca. Anna . . .

Co nas dzieli? Wiem, że w jej życiu był Stefan. Czym? Kochankiem? Ale o tym wiedziałem i przedtem. Ale Stefan już nie wróci. Nigdy. I mimo to było nam dobrze. Nie unikaliśmy jego imienia w naszych rozmowach. Był i moim przyjacielem.

Nad brzegiem rzeki gęste zarośla. W myślach też nieład. Czyżby słońce zgasło za chmurami. Niebo było tak niebieskie . . . Nie. Już znowu świeci. Więc nie Stefan.

Musiałem zdobywać jej usta. Tego nie lubię . . . A kiedy chciałem odejść . . . Ręka moja za długo spoczywała w jej ręce. Potem było to już niemożliwe. Więc ona nie chciała abym odszedł. Czy raziłaby ją twardość zerwania? A teraz leczę nerwy . . .

A teraz trzeba jej to jakoś powiedzieć. Nie wiem czy mnie kocha. Ona jest przecież prawdziwą kobietą. A ja gdybym miał pewność, że tak jest, czy myślałbym o niej więcej?

Jak to powiedzieć, jak napisać. Napisać i być dobrze zrozumianym. Słowa tak często można źle zrozumieć. Inaczej, opacznie. A miłość i jej . . . pogrzeb — chyba nie mieszczą się w słowach.

Teraz obok rzeki jest płaska, równa łąka. Pachnie.

Czyżby Janek? Ale to był u mnie niepokój posiadacza. Pytałem się.

Odpowiedziała: „nie". Mglistość kształtu na zielonej łące . . . Miasteczko jest daleko. Jeszcze dalej jest miasto Anny. Wielkie miasto o setkach zegarów i setkach ulic.

Może teraz jest u niej. Janek. Rybie, przejrzyste oczy. Tak określił go Andrzej. Czy on też był kochankiem? Czy dla niego broniła mi swoich ust i czy to wszystko . . . zazdrość?

Śmieszne. Zazdrość o niekochaną kobietę . . .

Bo Anna jest daleko, w mieście o tysiącach ulic i setkach zegarów . . . Pod moimi nogami zaczyna się jakaś droga. Z niczego. Tu jest jej początek a może właśnie tak daleko zdołała dojść? Ale teraz już rozumię. Jestem przy kopalniach gliny. Opodal — fabryka garnków. Wśród nich, tych które jeszcze nie błyszczą w migotliwym słońcu a czernieją chropawą powierzchnią, starczy, matowy głos:

— Moze, panocku, mocie ognia do fajki? Zgasła.

— Jest. Czy i wy tu dziadku lepicie garczki, gliniane cuda?

— He?! E, nie. Tero, to juz nie. Ale bywało . . . Krenciło sie kółko i lepiły sie gorki. Piekne gorki — cerwone i inse. Tak . . . beło. Glinem-se cornom na koło usadzieł i . . . — ręce starca wykonują bezwiednie ruch tworzenia — potem gorcek dźwiencoł. Pieknie. Ale jo juz tero stary gorcek. Niezdatny, podrutowany i do nicego. Tyle co ich teroz od słonecka bronie. I cy jo ta jesce długo na tym świecie? I tak se casem myśle: pewnie te moje gorki jesce som u ludzi a mnie juz nie bedzie. Ale jo se tak godom a faja mi zgasła, z gliny faja — zapikanka. Mocie panocek jesce jednego patycka?

— Jest.

Starcze ręce drżą. Kciuk prawej zdeformowany, płaski. Na moje pytające spojrzenie, odpowiedź:

— Dziwicie sie panocku, niby ze taki płaski? A to dlatego, by świenty Pieter poznoł, zem na ziemi gorcki lepił — nikły uśmiech zwiędłych ust ginie za chmurą dymu z fajki, któro sie juz teroz poli . . .

Uśmiech starego, podrutowanego człowieka jest w zgodzie z całym światem. Słonecznym i zielonym.

A Anna?

I ja młody, podrutowany trup. Nerwy . . . I co ze mnie jest u ludzi . . . A kiedy mnie już nie będzie? Stefan nie wróci. Ale Jan może wrócić. Anno, ja musiałem odejść. Janek, — — — czy był twoim kochankiem? . . .

Odpowiedzi nie ma. Przecież ja tylko pomyślałem. Pytania nikt usłyszeć nie mógł. Nawet Anna.

Czasem godziny nocy są tak długie. Nieprzespane godziny. Pod powiekami czuje się piasek. Ale to tylko oczy i nocą . . . A kiedy dusza podrutowana zardzewiałym, kolczastym drutem . . . Dusza, albo to w nas, co czuje . . . Czuły instrument. Działa nawet w słońcu . . .

* * *

Znowu droga, która — teraz wiem — tu się kończy. Rzeka pod słońce złota i ciepła. Nad rozgrzanym piaskiem drży powietrz[e]. Do domu daleko. Anna dostanie list. Słow[a] długo pieszczone, w myślach słowa, pis[ać] łatwiej. Słowa miłości . . .

Rynek. Zegar wybija jedenastą. Elektryc[z]ny zegar.

Czy Anna kocha mnie tak, jak ja ją?

* * *

Jestem znowu nad rzeką. Garczki suszą s[ię] w słońcu, ale nie pilnuje ich nikt. Zapałki dziś niepotrzebne nikomu. Widać stary gar[n]carz dobrze wiedział, że już niedługo na ty[m] świecie . . .

Tylko garczki zostały. Ja też.

Byłem w wielkim mieście Anny.

Długo czekałem odpowiedzi na mój li[st]. Długo czekałem . . . Nocami rechotały żab[y], dniem świeciło słońce.

Kiedy przyszedłem do niej — fortepi[an] czerniał w mroku — odpowiedziała, że J[an] był jej kochankiem . . . I że wrócił.

— Panocku, jo se godom a faja mi zg[a]sła . . .

Nie. To tylko złudzenie. Jedno więcej. Pr[zy] garczkach nie ma nikogo przecież. Coś bł[y]szczy. Czyżby matowe dawniej garnki?

To łzy . . .

I to nie jest złudzeniem . . .

Kwiatkowski Zbigniew

TYLKO TRWAĆ

Czas wsparł się na filarach godzin
wstrzymał się i nie mknie —
ale zachodzi . . .

Kędyś poplątane roje myśli
błądzą wśród śnień:
te — smutki godzin
te — martwe dnie.

Życie w nas tętni —

Chciałoby się wybiec na ulicę
a potem w świat.
Serce śmiechem rozkrzyczeć
i uśmiech innym dać.

Chciałoby się wiele, wiele,
a trzeba tylko trwać . . .

Kuciel Leon

Samolot w walce z szkodnikiem leśnym

Dokończenie ze strony 6-tej

odwieczne prawo istnienia. Tym prawem ograniczony jest nadmierny rozrost pewnego gatunku.

Las, knieja czy puszcza, ze swymi mieszkańcami i światem roślinnym stanowią odrębny krąg skomplikowanej wzajemnej zależności. Równowaga tam również panująca może jednak zostać łatwo zakłóconą przez niebaczne zakładanie wielkich kultur drzewnych o jednakowym wyłącznie rodzaju drzewostanu. Następstwa takiego przeciwnego naturze stanu rzeczy nie dadzą długo zwykle na siebie czekać. Bywały ongiś katastrofy na tym właśnie tle i to katastrofy poważne pod licznymi względami. Pożary lasów, zarazy grzybów, nagły rozrost pewnych owadów, choroby drzew — to wszystko w krótkim stosunkowo czasie kładło na obie łopatki usiłowania niekiedy lat całych.

Najgroźniejszym ze szkodników lasów szpilkowych jest gąsienica owadu zwanego osnują (Lyda stellata).

Ona to w czasie żerowania na szpilkach sosnowych sprawia zniszczenie i ogołocenie z igliwia lasów, ale gdy z końcem lipca opadnie na ziemię by wegetować w poszyciu całe 3 lata — wtedy jako poczwarka tak długi czas nie tknie ani miligrama jakiejkolwiek pożywki. Zaiste, bardzo osobliwe ma obyczaje osnuja! Gdy jeszcze znajduje się na gałęziach, nie sposób odróżnić ją od otoczenia — dostosowuje się bowiem barwą zieloną do koloru szpilek sosnowych, a tym sposobem uchodzi ptakom chętnie na nią polującym. Gdy ma zacząć pędzić żywot w poszyciu lasu — znowu upodabnia się do brudno-żółtawego tła swego przyszłego podłoża i dopiero wówczas opuszcza szpilkowie. Co za wspaniały przykład stosowania barw ochronnych w przyrodzie!

Dawno powzięto plany zajadłego zwalczania masowo rozmnożonych w pewnych lasach szkodników leśnych. Szukano ku temu celowi najodpowiedniejszych i najracjonalniejszych sposobów — a w Krakowskim Zakładzie Doświadczalnym Leśnym liczne badania entomologiczne doprowadziły do wyhodowania specjalnego pasożyta, składającego swe jajka w ciele gąsienic osnuji.

I może by tym sposobem zdołano wyniszczyć osnuję, cóż — kiedy osnuja samorzutnie opancerzała twardą wydzieliną wewnętrzną złożone w jej ciele zarodki — a zatem na drodze biologicznej zniszczyć się nie dawała.

Pomyślano tedy o stosowaniu metody trucia osnuji.

Najodpowiedniejszym w tym względzie okazał się ostatecznie samolot. Metoda ta nie jest już nową. W roku 1912 patent w tej dziedzinie pozyskał niemiecki nadleśniczy Zimmermann, później w szerokim świecie zaczęto stosować z dobrymi wynikami ów „wynalazek".

Prawie 100% gąsienic niszczało radykalnie w krótkim czasie na skutek takich zabiegów — bo i typy używanych do podobnych zadań samolotów z biegiem czasu obmyślono i truciznę odpowiednio spreparowano w niszczącym działaniu. Przede wszystkim działanie preparatu trującego musiało się ograniczać tylko do osnuji bez dalszych szkodliwych wpływów dla innych istot żywych. Praktycznie rzecz biorąc, trutka jest nieszkodliwą dla stworzeń ciepłokrwistych. Dwojaki system zadawania trucizny za pomocą samolotów można stosować w zwalczaniu osnuji.

Albo samolot, lecący tuż nad wierzchołkami drzew rozpyla niby delikatny deszcz truciznę ze zbiornika, albo — obecnie stosowaną metodą — spowija szczyty drzew w trującą chmurę gazową. Czyni się też próby z „zagazowaniem" chmurą trującą całych obszarów leśnych. Czyni to też samolot kładąc w niskim locie nad samymi drzewami smugę trującej mgły obok smugi.

Takim sposobem lotnictwo przychodzi z wydajną pomocą leśnictwu na olbrzymich niekiedy przestrzeniach tysięcy hektarów zagrożonych przez osnuję. Troska zaś o las i jego przyszły stan powinna być naczelnym problemem w gospodarce leśnej — bowiem małe nawet zaniedbanie sprowadzić może trudne do usunięcia następstwa a zniszczony drzewostan stanowi jakże poważne pozycje w ogólnej sumie szkód danego kraju.

PRZYGODA NA PODHALU

Pewnego razu wybrał się Pan Jezus ze świętym Piotrem i sługą swoim Judaszem, aby zwiedzić Podhale i przyjrzeć się bliżej życiu tamtejszych górali.

Kolei wtenczas jeszcze nie było, więc wędrowali piechotą. Kiedy zdążali do Witowa pod Chochołowem, był już wieczór i należało pomyśleć o noclegu. Święty Piotr, jako mniej wymagający, wypatrywał jakiejś starej, niskiej chaty, gdzie to i serca są lepsze i gościnniejsze i kąt przytulniejszy. Judasz natomiast rozglądał się za bogatszym domostwem, kędy mógłby wygodniej przespać się i dobrze pożywić.

Wreszcie znaleźli jakąś większą zagrodę. Gazda widząc jednak strudzonych i ubogich pielgrzymów, kazał im przenocować w stodole. Cóż było robić?! Bez słówka sprzeciwu udali się na spoczynek na wskazane miejsce. Pan Jezus położył się pośrodku swoich uczniów, Piotr święty legł od ściany, Judasz zaś, niezadowolony trochę ułożył się skraja.

Wczas rano przyszedł gospodarz młócić owies na boisku, a widząc śpiących jeszcze podróżnych, pado do swego pachołka:

— Przyłós tes ta cepe temu hawok skraja, niek wstaje! — co też pachołczysko zaraz uczyniło Judaszowi, bo leżał najbliżej stojących.

Gdy na chwilę tamci wyszli, przebiegły Judasz rzecze szeptem do św. Piotra:

— Legaj na moje miejsce! Już drugi raz skraja nie uderzy, a mnie tam będzie lepiej pod ścianą, bom do cna obity i obolały!..

To mówiąc, dźwignął się i postękując, wsunął się od ściany, zaś święty Piotr zajął jego miejsce. A że byli bardzo utrudzeni drogą i znużeni, rychło zasnęli znowu.

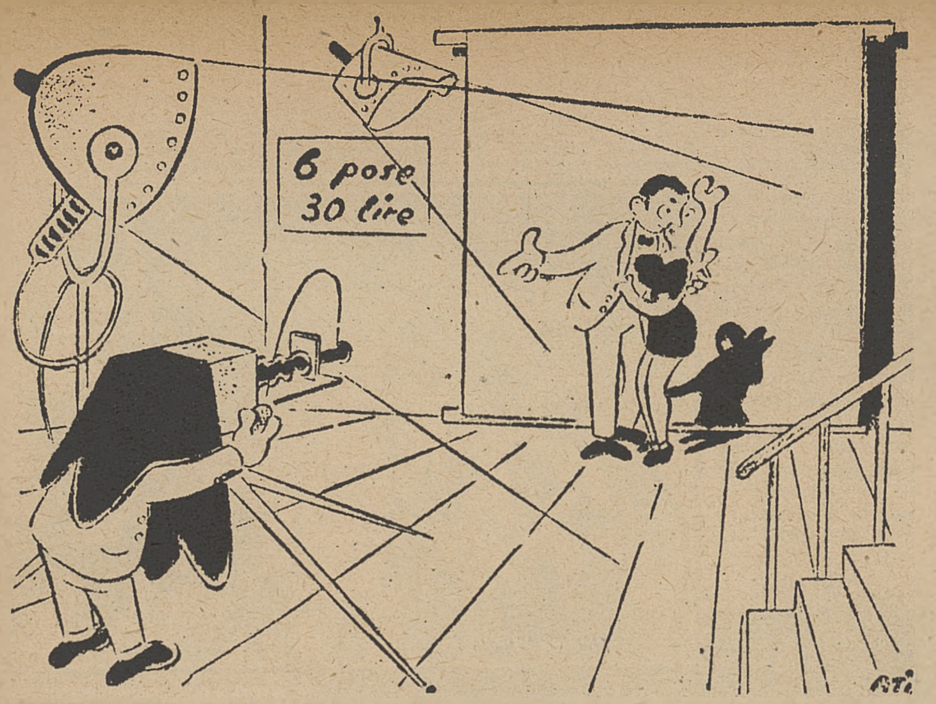
Tymczasem gazda wrócił i widząc śpiących wciąż jeszcze pielgrzymów, powiada gniewnie do swego parobka:

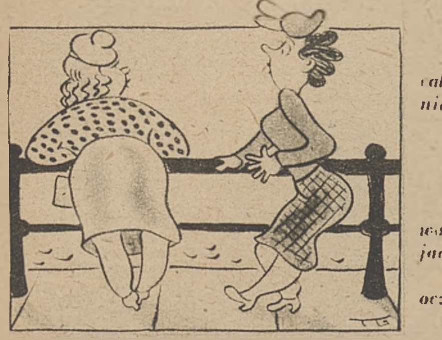
— Je rżnijze i tego tam, pod ścianom, by mu krzywdy nie beło! . . .

A parobek, jak parobek, uczynił tak, jak pan jego kazał: to jest zdzielił znowu Judasza, lecz tym razem pod ścianą, bo się tam przelegnął . . .

Zgniewało to okrutnie rudego Apostoła z Iskariotu, zerwał się na równe nogi i o mało że nie przyszło do bitki z gazdą, gdyby nie Boski Mistrz, który złagodził sprawę i kazał zbierać się czym prędzej w drogę do Chochołowa, gdzie właśnie miał być odpust.

E. Kłon.





Powyżej:
Prędko, kochanie, pocałuj mnie! On się teraz nie patrzy.

Die Woche

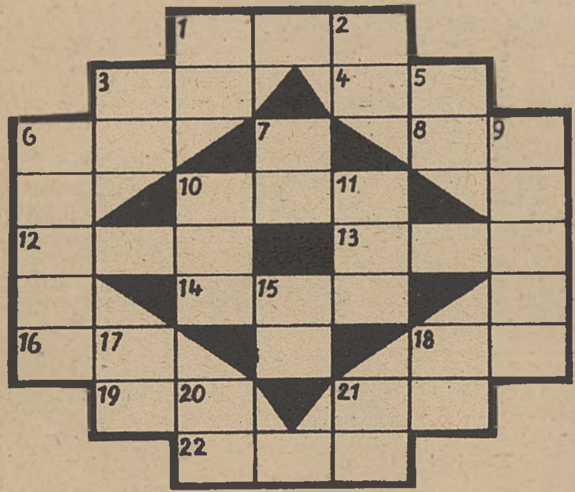
Na lewo:
— Gdzie cię pocałował twój pierwszy przyjaciel?
— Śmieszne pytanie: oczywiście, że w usta.

Die Woche

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

ukł. Nemo



W kratki wpisać wyrazy o następującym znaczeniu:

Poziomo: 1. prawy dopływ Obi w Syberii Zachodniej, 3. litera fonetyczna, 4. miara powierzchni, 6. on w języku obcym, 8. symbol chemiczny pierwiastwa aktynu, 10. gatunek węży, 12. okres dziejowy, 13. inaczej las, 14. ekonomista i polityk (b. prezydent miasta Krakowa), 16. zaimek, 18. stopień gamy C, 19. symbol chemiczny pierwiastka manganu, 22. prawy dopływ Dunaju w Szwajcarii.

Pionowo: 1. zaimek, 2. bóstwo egipskie, symbol zwycięstwa ładu nad zamętem, 3. symbol chemiczny pierwiastka kryptonu, 5. symbol chemiczny pierwiastka radu, 6. wrażenie, skutek, 7. pytanie, 9. w mitol. greckiej czarodziejka na wyspie Ajaja, 10. zabawa taneczna, 11. miasto w Finlandii nad zatoką Botnicką (uniwersytet fiński), 15. litera fonetycznie, 17. jednostka oporu elektrycznego, 18. skrót Republique Francais, 20. symbol chemiczny pierwiastka niklu, 21. zaimek.

SKRZYNIA Z KULAMI

— Najbardziej podobała mi się historia z dwoma zbójnikami — opowiadał młodziutki kinoman z entuzjazmem, swym kolegom. — Bandyci napadli na młodego farmera Edwarda i uprowadzili z sobą. Postawili przed nim skrzynię pełną trocin, wsypali do niej worek kul ołowianych i wymieszali wszystko starannie. — „Jeśli w przeciągu 5-ciu minut wybierzesz wszystkie kule i wsypiesz je do worka, tak by żadnej nie brakowało, wtedy puścimy cię wolno. Gdy tego nie zrobisz, utopimy cię w tej rzece, która płynie obok" — powiedział doń jeden z bandytów. I wyobraźcie sobie po dwóch minutach rozwiązał Edward zadanie i odzyskał wolność. Jak tego dokazał?

— Spotkałem ludzi, którzy całują papugi.
— Ależ to nierozsądnie!
— Dlaczego?
— Gdyż papugi przenoszą zakaźne choroby.

Ktoś trzeci wmieszał się do tej rozmowy:
— U mnie w rodzinie był taki wypadek.
— Naprawdę?
— Moja ciotka miała śliczną papugę, którą strasznie kochała. Pewnego razu w czasie rozmowy ze swą ulubienicą pocałowała ją w dziub. Następnego dnia . . .
— . . . pewnie zmarła twoja ciotka?
— Nie ciotka, ale papuga.

*

Mała Zosia pyta matki:
— Mamusiu, powiedz jak dawno jesteśmy już małżeństwem?
— Ależ, dziecko, przecież ty nie jesteś mężatką, myślisz chyba o mnie i o tatusiu.
— Nie, o sobie też, bo ciocia kiedyś powiedziała, że ja byłam głównym powodem waszego małżeństwa.

ANEGDOTY

WIELE MÓWIĄCA PROPOZYCJA

W czasie pokazu sprawności wojska w dniu święta pułkowego stoi wśród tłumu publiczności piękna, młoda dziewczyna. Nagle rozlega się salwa karabinowa jakiegoś oddziału piechoty. Przerażona cofa się dziewczyna w tył, prosto w ramiona jakiegoś młodzieńca.
— Przepraszam pana, tak się przestraszyłam — tłumaczy się z rumieńcem zawstydzenia na twarzy.
— Alez nic nie szkodzi — odpowiada grzeczny młodzieniec. — Możebyśmy jednak stąd poszli na drugie podwórze. Tam ćwiczy ciężka artyleria przeciwlotnicza.

NA DRUGIM KOŃCU

Mała Isia przybiega z ogródka do swojego ojca z rzodkiewką własnego chowu w ręku.
— Popatrz się, tatusiu, ja to sama wyciągnęłam!
— Niemożliwe! A czy bardzo ciężko było?
— Naturalnie! Przecież na drugim końcu wisiała cała ziemia!

POMOCNIK

Czteroletni Jaś opowiada swojej cioci, że pomaga swojemu ojcu przy rąbaniu drzewa. Ciotka zdumiona pyta:
— Co, ty malcze już pracujesz tak ciężko? Czy w ogóle możesz utrzymać w ręku siekierę?
— Nie, tego to nie potrafię. Ja tylko pluję tatusiowi w ręce, gdy ma za śliskie.

DOWCIPNA GOSPODYNI

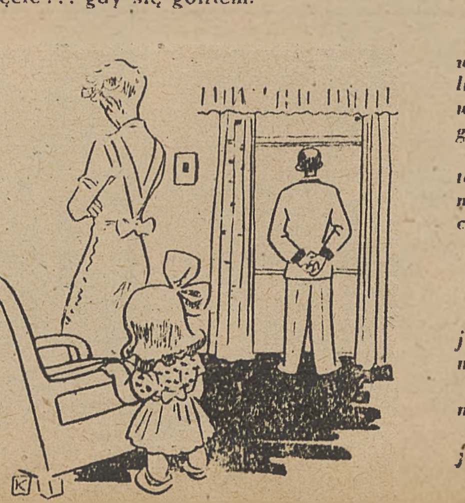
Słynny astronom Eneke bawił jednego dnia w towarzystwie uczonych w pewnej restauracji. Po smacznym obiedzie poprosił do siebie gospodynię lokalu.
— Szanowna pani — zwrócił się do niej — jestem przekonany, że pani się nie zna na astronomii. Proszę więc uważać. Dam pani małą lekcję astronomii. Istnieje t. zw. rok platoniczny, w którym powtarza się wszystko dokładnie co 26 tysięcy lat. A więc po 26 tysiącach lat będziemy znowu wszyscy jak tu jesteśmy i będziemy jeść smaczny obiad u pani, a pani jak dzisiaj będzie nas podejmowała. Czy może pani do tego dnia zaczekać na uregulowanie rachunku?
— Ależ chętnie — odpowiedziała gospodyni. — Już panom skredytowałam jeden rachunek. Dzisiaj właśnie upłynęło 26 tysięcy lat, jak panowie ostatnio u mnie gościli. Za ten ostatni dzień winni mi panowie zapłatę. Proszę więc wyrównać poprzedni rachunek, a dzisiejszy skredytuję wam chętnie na dalszych 26 tysięcy lat.
Uczony roześmiał się. Zapłacił rachunek ze słowami:
— Jestem pani prawdziwie zobowiązany, że pani nie policzyła mi procentu za zwłokę.

WYSTARCZAJĄCA DOZA

Profesor Virchow, sławny patolog, znany był z tego, że przy egzaminach peszył kandydatów złośliwymi przycinkami. Przy egzaminie z „interny" dał kandydatowi następujące pytanie: — „Wezwano pana do pacjenta. Stwierdził pan u niego kolkę nerkową. Co pan teraz czyni?" — „Dam mu najpierw morfiny na uśmierzenie bólu." — „Dobrze — zgodził się Virchow. — Da mu pan morfiny. A jaką dawkę, panie kolego?" — Kandydat zawahał się z odpowiedzią. — „Pół grama, panie profesorze!" — Surowy egzaminator błysnął szkłami binokli: — „Pięć gramów . . . no tak. A co pan zrobi ze zwłokami, panie kandydacie?"

*

Słynny chirurg z Lipska Thiersch był przedmiotem ogólnego podziwu. Zwłaszcza panie nie mogły się nachwalić jego zręczności. Jedna z pań zapytała go razu pewnego: — Panie doktorze, ciekawam bardzo, czy pan kiedyś zrobił fałszywe cięcie?
— Owszem, łaskawa pani, często zdarzało mi się fałszywe cięcie . . . gdy się goliłem.

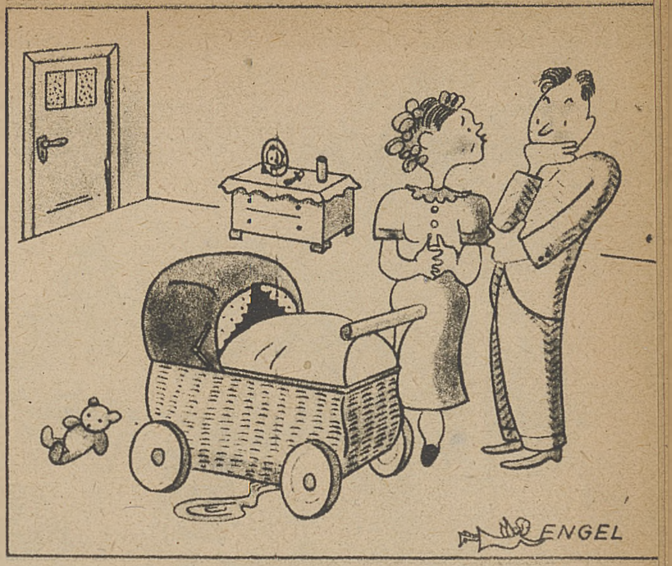


Na prawo:
— Proszę sobie wyobrazić, że są ludzie, którzy śpią w nocy tylko trzy godziny!
— Hm, mam takiego w domu, ma teraz właśnie cztery miesiące!

Die Grüne Post

Na lewo:
— Jak dawno już jesteś mężatką, mamusiu?
— Osiem lat, moje dziecko!
— A musisz jeszcze długo?

Die Grüne Post



— Musimy znowu wymienić wózek na inny, ten cieknie!

Die neue Gartenlaube



— Wyobraź sobie Julio, cała flaszka z wódką wylała mi się, zapewne korek był nieszczelny.

Wiener Illustrierte

*

— Panie doktorze, czy moje życie było naprawdę w niebezpieczeństwie?
— Tak, proszę pani, przecież ja byłem dwa razy dziennie przy pani.

*

Ona: — Wie pan, czym pan jest dla mnie? Powietrzem, po prostu powietrzem.
On: — To znaczy, panno Lolu, że pani beze mnie żyć nie może.

*

Proboszcz pewnej wioski był zamiłowanym ogrodnikiem. Raz zaprosił wszystkie dzieci swej wioski na poziomki ze śmietaną. Pod koniec przyjęcia powiedział do dzieci:
— No, czyż nie jest to lepiej, że jecie jako moi goście u mnie poziomki, niż gdy wykradacie mi je pokryjomu z ogródka?
Na to wszystkie dzieci zawołały chórem:
— Tak.
— A może mi teraz powiecie dlaczego? — zapytał proboszcz.
— Ponieważ są pocukrowane i ze śmietaną.

*

— Mam nadzieję, że nie spóźnię się na pociąg — mówi ciocia, ubierając się pospiesznie.
— O, na pewno nie, ciociu — odpowiada na to mały Lesio. — Tatuś przesunął zegar o godzinę, skoro tylko zobaczył, żeś przyjechała z wizytą do nas, cioteczko!



Sen nocy lipcowej



Na lewo: Wspaniała scena zespołowa z 1 odsłony. Od lewa: Helena Terenkoczy (Dorota), Barbara Kostrzewska (Basia), Jerzy Pichelski (Stach), Mira Golaszewska (Zosia), Józef Kempa (Jontek) i inni.

Na prawo: Spisek. Chór Bogdana, który nie tylko pięknie śpiewał ale i dobrze grał; w środku Andrzej Szalawski (Bryndus).



W dniach od 13—18 bm. sala K. T. P. w Krakowie cieszyła się niebywałą frekwencją. Magnesem przyciągającym tak liczne rzesze byli rozśpiewani i roztańczeni „Krakowiacy i Górale“ w „Śnie nocy lipcowej“. Sztuka ta na premierze obchodziła swoje 150 narodziny i jeszcze wciąż jest młoda i zachwycająca — nawiasem mówiąc nie szczędzono dla niej środków odmładzających — tchnie zdrowiem kochania, wszystko w niej świeże, czyste, naturalne, a przede wszystkim swojskie, porusza wiele problemów społecznych, wprawdzie po części już niedzisiejszych, ale w przenośni nigdy nie tracących na aktualności, tętni życiem wsi podkrakowskiej i ognistością mieszkańców Podhala, wydobywa typy najbardziej charakterystyczne, ośmieszając ich słabostki, wykorzystywa wszystkie momenty, ażeby nadać całości wygląd prawdziwie swojski, polski, a więc: gwara, przyśpiewki, melodie, tańce, zwyczaje, zabobony, stroje i krajobraz. Niebywały entuzjazm widowni towarzyszył każdemu niemal słowu i gestowi artystów, których dobór był znakomity. Wystawiała Warszawa, ale nie to jest ważne, tylko to, że występowała elita elity świata artystycznego w doskonałej oprawie nadanej przez reżysera St. Daniłłowicza i artystów-dekoratorów G. i J. Galewskich.

O Andrzeju Szalawskim (Bryndus) powiedział ktoś kiedyś: „To mężczyzna, dla którego kobieta może stracić głowę i uciec z nim na pięć minut przed ślubem od niedoszłego męża“. Tu było inaczej: nie Basia (Barbara Kostrzewska) straciła głowę w przeddzień ślubu ze Stachem (Pichelski Jerzy), ale Bryndus w zmowie ze swoimi rodakami (chór Bogdana, w którym odkryliśmy dobrych aktorów) dokonał raptus puellae na czupurnej krakowiance i uprowadził ją. Zdolność Pichelskiego do odgrywania ról tak bardzo różniących się charakterem jest zastanawiająca. Kostrzewska — miły słowiczek wiejski — porywała temperamentem i werwą. Zośka — Golaszewska Mira — uosobienie wstydliwej Bronki z obrazka Stachiewicza, wniosła dużo świeżego humoru. Niezrównany był Józef Orwid w roli ekonoma dworskiego. Wracając do Szalawskiego — grał wspaniale. Pyszną figurą w widowisku był organista Miechodmuch rymokleta-pijus, któremu „księżyc“ w głowie zawrócił. Zawdzięczamy ją doskonałej interpretacji Tadeusza Chmielewskiego. Równie zabawnym typkiem była Dorota, macocha Basi i jej rywalka. Helena Terenkoczy wydobyła ze swej roli szczyt możliwości. Gliński Wieńczysław jako student z Krakowa, Kempa Józef jako Jontek, konkurent Zosi i Związek Kazimierz, jako mąż Doroty stanęli również na wysokości zadania. Mimo walorów pojedynczych aktorów, o których niestety nie możemy się rozpisywać z braku miejsca, widowisko nie przedstawiałoby tak harmonijnej całości, gdyby nie doskonała gra zespołowa wszystkich bez wyjątku uczestników. Największy sceptyk nie mógłby się dopatrzeć ani martwych momentów, ani też nazwać wystąpienia chóru i baletu wstawkami. Te ostatnie zespoły cieszyły się szczególną sympatią publiczności, czemu wyraz dawała niemilknącymi oklaskami i głośnymi żądaniami powtórzenia.

B. P.



Powyżej: Oryginalna scena baletowa z 3 odsłony w lesie. W kole: Fragment z ostatniej odsłony. Pan organista Miechodmuch (Tadeusz Chmielewski) ma głos! Po prawej Bardos (Wieńczysław Gliński), student z Krakowa, a obecny spadkobierca olbrzymiego majątku ziemskiego.

Fot. Borek





Ekonom nad ekonomami! — Józef Orwid.





Zdjęcia dają nam możność podziwiać kilka figur z ognistego mazura. Znakomity balet E. Paplińskiego z F. Kleszczówną, M. Kołpikówną, K. Marynowską, T. Wolińskim i J. Kudłą porwał widownię pełnym ekspresji tańcem.